TAJEMNICE „WYJAŚNIONEJ” ZBRODNI

FAKTY po mitach

Nr 40 (316), 2 – 8 października 2026 r.

str. 9

KOŚCI BOSKOŚCI

str. 3

fot. Ilustracja AI

DEMONY I POZEW: Trzy kobiety pozwały pięć diecezji i dwa zakony. Łącznie domagają się 19,7 mln zł zadośćuczynienia. (Katarzyna Wilk-Wojtczak, str. 6)

POWRACAJCIE, RODACY!: Bociany odlatują do ciepłych krajów, a Polacy wracają do Polski. Na stałe, bardzo cieszą się z tego polscy patrioci. (Piotr Gadzinowski, str. 18)

9 772719 530604 40

cena 11,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2719-5309 INDEX 434000

tygodnikfaktypomitach

faktypomitach.pl

eprasa.pl 46ae2859af

Akademia absurdu

W krainie lalek

Są pisarze wybitni i grafomańscy „wieszcze". Są dzieła wielkie i są „Dziady".

Z tymi najgorszymi jest jak z polskim kat. Kościołem – mamy go kochać; i już. Jak ktoś się przyzna, że Mickiewicz odpycha go w stopniu porównywalnym z JPII – nie jest uważany za Polaka. Przynajmniej przez tych, którzy obu bronią, co jednak nie znaczy, że rzeczywiście cenią poezję Karola i publiczne modlitwy Adama. (Albo odwrotnie – przy poziomie ich grafomanii i megalomanii nie ma to znaczenia).

Skazani na sukces

Podobnie jest z filmami będącymi ekranizacjami powieści. W wypadku popularnych produkcji ich największymi krytykami są zazwyczaj ci, którzy nie załapali się do obsady. Ukrywając zazdrość, jęczą o odstępstwach adaptacji od pierwowzoru. Jeśli to kolejna ekranizacja – chwalą poprzednią, wiedząc, że starzy aktorzy nie są dla nich konkurencją. Tak dzieje się z nowym serialem „Lalka" w reżyserii Pawła Maślony. Nie mogąc wprost dobrać się do reżysera i aktorów, krytycy uczepili się odstępstw scenariusza od powieści Prusa i bronią „czystości" pierwowzoru jak PiS cnoty Marty Kaczyńskiej. Tak, jakby na wszystkie dzieła sprzed wieków można było patrzeć tylko oczyma rówieśników ich twórców. A co, jeśli ich przekaz jest dziś surrealistyczny? Prus winien być uznany za piewcę filozofii utopijnej albo fantastyki. Dlaczego? Bo w wersji „czystej" jego znakomita powieść nie miałaby dziś szans na przebicie się na rynku.

Jestem bardzo mile zaskoczony najnowszą, serialową wersją „Lalki" i szczerze ją wszystkim polecam. Ale i ona nie wytrzymuje konfrontacji z polską rzeczywistością, choć twierdzę, że powieść ciągle trzyma poziom. Jak to możliwe? To proste: czasy mamy tak załgane, że rozum nie ma szans na popularność.

Czy dzisiaj taka powieść mogłaby się przebić? Jasne. Ale tylko z pomocą mediów głównego nurtu. Punkt wyjścia: jeden z najpopularniejszych polskich felietonistów i pisarzy wydaje (w trzech tomach!) nową – „narodową" – powieść. Gdyby „Gazeta Wyborcza" i TVN się dogadały, a TVP dostałaby polecenie, by też się zachwycić tą prozą – sprawa załatwiona: splendor, wywiady, Nagroda Literacka Nike, Paszport „Polityki", nominacja do literackiego Nobla, nagroda ministra kultury z PSL, wzruszenie wicepremiera z PSL, duma premiera, wywiad u Olejnik, bruderszaft z Michnikiem. Rzecz w tym, że jest to niemożliwe…

Praonuca

Pragnę zauważyć, że główny bohater powieści Prusa (i filmów) Stanisław Wokulski zbił majątek na wojnie, w której jego ojczyzna nie brała udziału (formalnie Polska nie istniała). Bili się za to Rosjanie. Polak zajmował się zaopatrzeniem rosyjskiej armii w żywność. No, przecież Wokulski to stara ruska onuca!!!

I największa obłuda tkwi w wyborze narodowego bohatera. Z jednej strony, każe się dzieciom brać z niego przykład (scjentyzm, organicyzm, utylitaryzm, determinizm), a z drugiej – potępia takich jak on. Gdyby dziś zaczął handlować z Rosjanami, natychmiast objęto by go sankcjami, zablokowano konta, firmę doprowadzono do bankructwa, a po opisaniu jego działań przez jakąś idiotkę, powiedzmy z OKO.press, niemądry poseł rządzącej KO napisałby bardzo niemądrą interpelację, którą rozbawiona bezpieka polityczna (ABW) potraktowałaby jako zachętę do aresztowania i zgnębienia gościa na kilka lat, o czym z radością poinformowałby dumny z niej premier. Czyli – na dzisiejszej wojnie Wokulski nie dorobiłby się majątku.

Oczywiście, ktoś może zauważyć, że mógłby skoncentrować się na zaopatrywaniu armii ukraińskiej. OK, ale po co miałby to robić, jeśli potencjalni odbiorcy jego towarów nastawieni są na to, żeby brać, a nie płacić? Pieniądze mógłby poczuć, gdyby nastawił się na pozyskiwanie środków dla Ukrainy (pomoc humanitarna), ale żeby się na tym dorobić, musiałby kraść. Nie byłoby z tym problemu, ale robiąc to, musiałby być gnidą i korzystać z ochrony kilku wywiadów. Na pewno ukraińskiego za „działkę", polskiego, brytyjskiego i amerykańskiego za informacje o tym, z którymi Ukraińcami się dzieli. Zarobiłby, ale nie mógłby się z tym szmalem wychylać w Polsce. Wniosek: to nie czasy dla Wokulskich.

Teoretycznie, bazując na znajomościach z Rosjanami, Wokulski mógłby robić coś pozytywnego dla Polski (podejmować nieformalne rozmowy, wskazywać możliwe inicjatywy itp.). Ale niech go Bóg broni! Bogaty własnymi doświadczeniami szczerze mu to odradzam. Podsłuchy, inwigilacja, ataki „zadaniowanych" mediów. To bezsensowna aktywność zważywszy, że polski rząd nie chce z Rosjanami rozmawiać. Bardzo zaś chce ich zabijać, by później, kiedy akcja spotka się z reakcją, dać premierowi powody do dumy przy opowiadaniu o bohaterskiej śmierci swoich rodaków.

Zakazane pejzaże

Osią powieści Prusa i serialu Pawła Maślona jest nieszczęśliwa miłość Wokulskiego do Izabeli Łęckiej. U Prusa była po prostu wredną, rozpieszczoną „lalką". Współcześni twórcy są dla niej bardziej wyrozumiali i w serialu zrobili z niej rozpieszczoną, wredną emancypantkę. Taką, która bez trudu odnajdywałaby się w dzisiejszym rządzie, mając poparcie środowiska Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Pewne odniesienia do tego były, bo choć Łęcka w filmie nie krzyczała „jebać PiS", to jednak język Marty Lempart nie był jej obcy („ty kurwi synu, borsuczy chujku").

Ważnym elementem powieści Prusa był obraz Warszawy. Skrajnie rozwarstwionej, brudnej, biednej. Dziś tak patologicznej biedy, jak ta odmalowana na Powiślu, nie ma. Zastąpiła ją inna; mniej widoczna, nie tak „plastyczna", dotykająca dziesiątki tysięcy przyjezdnych, którzy choć pracują po kilkanaście godzin na dobę, i śpią na zmianę w tym samym łóżku, mają problem, by przeżyć od pierwszego do pierwszego. To też Warszawa, w której rządzą korupcja i nepotyzm. Ale taki obraz stolicy nie przejdzie w medialnym mainstreamie, bo prezydent Warszawy jest częścią tego układu.

Trudno też byłoby odmalować, jak zrobił to Prus, obraz arystokracji jako klasy upadającej. Wyszło mu to świetnie, bo darmozjady w końcu padły i dziś o rodowód nie pyta się nawet kupując psa. Jej miejsce zajęła nowa klasa – nowobogackich. To ona wyznacza standardy i mody. Kto miałby dziś pełnić rolę książkowej „Prezesowej Zasławskiej" przerobionej w serialu na „Księżnę Zasławską"? Jak nic pierwsza wdowa po najbogatszym Polaku – Grażyna Kulczyk. Ale to ryzykowny krok, bo w razie wątpliwości jej prawnicy wysadziliby w powietrze całą produkcję, a nawet wyciągnęli z grobu i postawili przed Temidą samego Prusa.

Popyt i podaż

Oczywiście, w powieści i w filmach zabrakło wątków ukraińskich, przez które dzieła te wydają się współcześnie niepełne. (I Prusa oczywiście nie usprawiedliwia fakt, że kiedy pisał „Lalkę" Ukrainy nie było). Da się to naprawić zamieniając kilku Rosjan na Ukraińców, bo mamy już w tym doświadczenie („pierogi ukraińskie", „ukraińskie igristoje" itd.).

No, ale jak wybrnąć z braku jawnej pochwały homoseksualizmu? Trzeba by rozbudować jakiś wątek. Może niechęć hrabiego Ochockiego do „kobiet salonowych". A może zagłębić się w meandry uczucia łączącego Rzeckiego z Wokulskim? W to bezgraniczne zaufanie starego subiekta i jego pełną uległość wobec Stacha?

Mimo że „Lalkę" dalej się dobrze czyta, a nowy serial o tej samej nazwie ogląda znakomicie, to chyba – mam nadzieję – udało mi się wykazać jej irracjonalny przekaz. Niemniej, powstała jej kolejna filmowa odsłona, która właśnie trafiła do kin. Główne role przypadły tym, którzy nie załapali się do serialowej produkcji Netflixa. Można przyjąć, że nowy (czwarty już!) film ma zapewniony sukces, bo będzie wolny od krytyki tych, którzy zagrali w serialu P. Maślony. Dlaczego? Bo nie będzie im straszna konkurencja starszych kolegów; dla części z nich będzie to pożegnanie z filmem; dla części też pewnie z życiem. Dlaczego więc powstała kolejna ekranizacja czegoś nieprzystającego do rzeczywistości? To rezultat załganych czasów. Co też – mam nadzieję – udało mi się wykazać.

Cdn.

Darek Cychol

FAKTY bez mitów

InPost znowu przypomina, że jeśli buduje się fortunę w kapitalizmie, to polega to z grubsza na tym, by płacić ludziom jak najmniej, równocześnie zrzucając na nich koszty działalności. Firma ogłosiła, że jeśli samochód z jej logo stanie w miejscu niedozwolonym, kurier straci 5 000 zł. Nic to, że niektóre paczkomaty zamontowano tak, że parkować przy nich można tylko na trawniku, jeśli w ogóle. Kary pieniężne czekają też za niezabranie z paczkomatu wszystkich przesyłek do określonej godziny i za „brak dbałości o czystość Paczkomatu i okolicy", czyli coś, co w zasadzie nie wchodzi w zakres obowiązków dostawcy paczek.

***

Prezydent Nawrocki otworzył strzelnicę w Bogutach-Piankach (woj. mazowieckie), osobiście kilka razy wymierzył z pistoletu i przy okazji pożalił się, że tak mało Polaków ma legalny dostęp do broni. Prezydentowi marzy się ogólnopolska dyskusja na ten temat, zakończona pójściem w ślady amerykańskich idoli prawicy i uruchomieniem sprzedaży spluw w każdym supermarkecie. Do tej pory nie mieliśmy szkolnych strzelanin, a nienawiść do obcokrajowców realizuje się głównie poprzez bluzgi w sieci – ale spokojnie, prawica zadba, żeby to się zmieniło.

***

W cudzoziemców walnął też Krzysztof Bosak na spotkaniu w Rybniku, którym zainaugurował jesienną serię spotkań Konfederacji z wyborcami. Wpadł mianowicie na pomysł, by odgórnie limitować liczbę obcokrajowców w poszczególnych gminach, wstrząśnięty faktem, że są w Polsce miasteczka, gdzie odsetek przybyszów jest dwucyfrowy. Dla wyborców Konfederacji to może być za trudne, ale wyjaśnijmy: cudzoziemcy nie siedzą w różnych Mszczonowach i Jelczach-Laskowicach, by miło spędzać czas, ale dlatego, że właśnie tam do roboty posłali ich obrotni biznesmeni, liczący z zachwytem, o ile Hindus jest tańszy od Polaka.

A.S.

eprasa.pl 46ae2859af

Miesiąc magii

Markety mają promocje, galerie handlowe – wyprzedaże, a Kościół ma relikwie. Wrzesień upłynął w Polsce pod znakiem uroczystych wprowadzeń, peregrynacji i nabożeństw związanych ze szczątkami świętych.

Kult szczątków świętych ma w Polsce długą historię. Trudno jednak nie zauważyć, że kościelni marketingowcy postawili ostatnio właśnie na relikwie. Jest to produkt, którego nie trzeba przeceniać, żeby przyciągnąć wiernych. Nie ma oczywiście żadnych danych, które pozwalałyby powiedzieć, że relikwie są lekarstwem na spadającą frekwencję w kościołach. Kiedy jednak ogląda się parafialne komunikaty, widać wyraźnie, jak bardzo wprowadzenie relikwii potrafi ożywić życie parafii. Trzeba przecież taką relikwię sprowadzić np. z Watykanu, przygotować relikwiarz, zrobić uroczyste wprowadzenie, zaprosić biskupa; można też urządzić obwoźny show i oczywiście zebrać na to wszystko datki.

Magnes na wiernych

Choć wydaje się to nieprawdopodobne, tylko we wrześniu naliczyliśmy 22 uroczystości związane z relikwiami. Wśród nich znalazło się otwarcie kaplicy Hospicjum Stacjonarnego przy szpitalu w Malborku (2 września). Biskup Wojciech Skibicki oficjalnie wprowadził do niej relikwie I stopnia błogosławionej Rodziny Ulmów. Fragmenty kości Józefa, Wiktorii oraz ich siedmiorga dzieci, pobrane podczas oficjalnej ekshumacji przed ich beatyfikacją, umieszczono w ozdobnym relikwiarzu.

– Niech ich przykład uczy nas cierpliwości w znoszeniu słabości ciała, a ich wstawiennictwo wyjednuje chorym łaskę zdrowia, personelowi medycznemu samarytańską miłość, a umierającym wieczny pokój – mówił podczas uroczystości biskup.

Dwa dni później w Żołyni (woj. podkarpackie) do kaplicy Zakładu Pielęgnacyjno-Opiekuńczego abp Adam Szal uroczyście wprowadził relikwie – krople krwi – św. Matki Teresy z Kalkuty. Wydarzenie zorganizowano w przededniu rocznicy jej kanonizacji. W kościele św. Szczepana w mazowieckim Skrzynnie (5 września) bp senior Henryk Tomasik przyjął od warszawskich zakonnic kolejne relikwie św. Matki Teresy z Kalkuty. Żeby podkręcić atmosferę, biskup dodatkowo pokropił wodą odnowioną figurę św. Rocha, który w ludowej tradycji chroni przed zarazą. W Ostrowie Wielkopolskim parafia NMP Królowej Polski nie mogła być gorsza i zaserwowała wiernym pakiet relikwii I stopnia – zasuszoną krew bł. Zbigniewa Strzałkowskiego i bł. Michała Tomaszka. Po odśpiewaniu hymnu beatyfikacyjnego zaoferowano parafianom możliwość zakupu dewocjonaliów i biuletynów o zamordowanych misjonarzach. W sanktuarium we Włoszczowie (woj. świętokrzyskie) impreza z fragmentem kości św. Andrzeja Boboli rozpoczęła się od modlitw na cmentarzu, po czym uformowano procesję, która przy dźwiękach młodzieżowej orkiestry dętej przemaszerowała do kościoła. Całością kierował abp Henryk Jagodziński, ściągnięty na tę okazję aż z placówki dyplomatycznej w RPA.

W bazylice w podlubelskim Chełmie z okazji rozpoczęcia roku szkolnego (9 września) bp Adam Bab zafundował dzieciom i młodzieży pokaz relikwii I stopnia – cząstki ciała *ex corpore*, czyli błony otaczającej serce – św. Carla Acutisa. Aby nikt nie zarzucił im handlu podróbkami, duszpasterze dumnie prezentowali certyfikat autentyczności. Dzień później w kościele Narodzenia NMP w Szczercowie (woj. łódzkie) zorganizowano kolejny event z osierdziem Acutisa. Pod okiem bp. Piotra Kleszcza po mszy nastolatkowie ustawiali się w kolejce, by całować relikwiarz. Nie wiadomo, czy była to część lekcji anatomii, czy może wychowania do życia w rodzinie. W poszukiwaniu relikwii od koniec miesiąca znów wracamy do Chełma. Do Kaplicy pw. bł. Hanny Chrzanowskiej w Samodzielnym Publicznym Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym trafił kolejny fragment kości Andrzeja Boboli. W programie uroczystości znalazły się modlitwa za ojczyznę i msza w intencji Polski. O długach szpitala (ponad 256 mln zł), niestety, nie było mowy.

fot. Archidiecezja łódzka

fot. Parafiamariimagdaleny.pl

Kult obwoźny

Brak własnych relikwii nie jest dla parafii bardzo istotną przeszkodą. Fragmenty kości św. Stanisława Kostki przywiezione z Watykanu (18 września) przekazano Katolickiemu Stowarzyszeniu Młodzieży (KSM) Archidiecezji Lubelskiej. I nie po to, żeby spokojnie stały w jednym kościele. Mają peregrynować po parafiach, przede wszystkim tych, w których działają oddziały KSM, ale także po wspólnotach, które zechcą je przyjąć. Pierwszym przystankiem była parafia na lubelskim Felinie.

W parafii św. Andrzeja Boboli w Bielsku-Białej od 16 maja do końca września trwała peregrynacja kopii obrazu jej patrona wraz z relikwiami. Zestaw ten był przekazywany kolejnym rodzinom po uprzedniej rezerwacji. Maksymalny czas przebywania relikwii w jednym domu wynosił dziewięć dni. W konkatedrze w Ostrowie Wielkopolskim wierni przez sześć dni podawali sobie kamień (relikwię II stopnia), pochodzący z rodzinnego domu św. Rity z Cascii. W Stargardzie peregrynacja włosów kard. Stefana Wyszyńskiego została rozpisana na całodniowy program: msza, droga krzyżowa, godzina miłosierdzia, różaniec i kolejna msza.

W Białymstoku nie przybyło żadnych nowych świętych skrawków. Obchodzono tam natomiast (21-22 września) 34. rocznicę przeniesienia relikwii – nierozkładającego się ciała – św. Gabriela z Grodna. Relikwie przybyły z monasteru w Zwierkach. Z tej okazji w miejscowej katedrze odbyły się całonocne czuwania, „boska liturgia" i procesja z udziałem hierarchów Kościoła prawosławnego.

Magazyn świętych

Czasami jedna relikwia nie wystarczy. W Sanktuarium Matki Bożej Królowej Polski w Leśnej na Żywiecczyźnie zgromadzono aż 221 relikwii! Na liście są m.in. krew Jana Pawła II, Jerzego Popiełuszki i Matki Teresy z Kalkuty, włosy z brody Maksymiliana Kolbego, fragmenty bandaża Ojca Pio, kości brata Alberta, Faustyny Kowalskiej i św. Rity, a także włosy Joanny Beretty-Molla. Mało tego. Sanktuarium chwali się szczególnie cenną kopią gwoździa z Krzyża Pańskiego z 1496 r. (ponowne ukrzyżowanie?).

Około 200 relikwii I stopnia znajduje się w sanktuarium św. Józefa na warszawskim Kole. W zbiorach standardowo już jest m.in. krew św. Jana Pawła II i Jerzego Popiełuszki, kości św. Andrzeja Boboli, św. Szymona z Lipnicy, bł. Karoliny Kózkówny, bł. Bronisława Markiewicza oraz czaszka bł. Elżbiety Róży Czackiej. Podobną kolekcję można znaleźć w bazylice dominikanów w Jarosławiu. Tamtejszy Ołtarz Relikwii mieści prawie 200 kawałków męczenników i świętych żyjących od III do XVII w. Oprócz fragmentów kości znajdują się tam także fragmenty szat liturgicznych oraz przedmioty związane z miejscami kultu, m.in. gałązki i kamienie z jerozolimskiego ogrodu Getsemani. Trochę mniej, bo prawie 150 relikwii znajduje się w kościele pw. Wszystkich Świętych w Brzezinach (woj. świętokrzyskie). Co ciekawe, proboszcz ks. Józef Knap tłumaczy ten rozmach bardzo dosłownie: „skoro parafia jest pod wezwaniem Wszystkich Świętych, to predysponuje ją to do gromadzenia" takich skarbów. Wśród nich są całe zbiory fragmentów kości m.in. św. Franciszka z Asyżu, Andrzeja Boboli, św. Faustyny, św. Jana Bosko oraz dzieci fatimskich – Franciszka i Hiacynty, a także włosy Maksymiliana Kolbego. Szczególne miejsce zajmuje tam najwyższa rangą „relikwia Pańska", czyli niewielka drzazga pochodząca z krzyża, na którym został ukrzyżowany Chrystus.

Biznesowi analitycy od lat głowią się, jak stworzyć produkt odporny na inflację, kryzysy demograficzne i spadki zainteresowania marką. Kościół w Polsce doskonale zna odpowiedź. Nie potrzebuje nowych strategii ani reform – wystarczy dobrze zakonserwowana przeszłość, pocięta na milimetrowe kawałki. Bo dopóki na ludzkie dramaty i zadłużenia szpitali w Polsce jedyną odpowiedzią pozostanie „cud", jeszcze długo w tym biznesie nikt nie ogłosi upadłości.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl 46ae2859af

WIARA CZYNI CZUDA

Belgia: żonaci księża

Biskup Antwerpii Johan Bonny rozpoczął kształcenie żonatych mężczyzn, których chce wyświęcić na księży już w 2028 r. Nie ma jednak zgody Watykanu.

W czerwcu br. Bonny przedstawił w Rzymie swój plan watykańskim dostojnikom, którzy mieli przekazać sprawę papieżowi Leonowi XIV. Odpowiedzi jednak jak nie było, tak nie ma. Biskup postanowił więc działać. Według jego koncepcji kandydaci mają mieć co najmniej 35 lat, zgodę żony i ustabilizowane życie rodzinne. Bonny przekonuje, że nie chodzi o ideologię, lecz o konieczność. W jego diecezji zostało zaledwie 70 księży poniżej 70. roku życia, a wielu z nich obsługuje po kilka parafii. Pomysł biskupa brzmi jak zapowiedź wielkiej reformy celibatu. Nie wiadomo tylko, czego bardziej boi się Kościół, zmian po ponad 800 latach czy małżeńskiego prawa dziedziczenia?

Hiszpania: ateiści górą

Z najnowszego badania Centrum Badań Socjologicznych wynika, że 17,1 proc. Hiszpanów deklaruje się jako ateiści, podczas gdy praktykujących katolików jest 15,9 proc.

Badanie przeprowadzono na grupie 4 042 osób. Katolicy niepraktykujący stanowią 38,5 proc. respondentów, 12,2 proc. to agnostycy, a 11,3 proc. określa się jako osoby obojętne lub niewierzące. Wśród deklarujących katolicyzm lub inną religię, ponad połowa do kościoła praktycznie nie zagląda: 26,2 proc. nigdy nie uczestniczy w nabożeństwach, a 26,4 proc. – niemal nigdy; w każdą niedzielę na mszę chodzi 10,4 proc. Wśród ateistów seniorzy to zaledwie 5,6 proc. Z kolei młodzi w wieku 18-24 lat stanowią 12,5 proc. bezwyznaniowców i tylko 7 proc. praktykujących katolików. Statystyka jest więc bezlitosna: ateizm młodnieje, katolicyzm siwieje.

USA: Sodoma, Gomora, dolary

Kardynał Raymond Burke porównał współczesną obyczajowość do czasów biblijnej Sodomy i Gomory. Nie zająknął się jednak o milionach odszkodowania dla ofiar pedofilów w sutannach.

W rozmowie z amerykańskim podcasterem Shawnem Ryanem kardynał uznał, że dzisiejszy świat powtarza grzechy opisane w Księdze Rodzaju. Zdaniem hierarchy, szczególnie niepokojące są małżeństwa osób tej samej płci, które nazwał „herezją nie tylko przeciwko wierze, ale przeciwko samemu rozumowi". Burke krytykował również możliwość zmiany płci, masturbację i stosunki seksualne poza małżeństwem. Według niego, podobieństwa między naszymi czasami a Sodomą i Gomorą są wyraźne. Kardynał Burke szuka na świecie biblijnej Sodomy, nie widzi jej jednak pod swoim nosem. Archidiecezja Chicago w ramach ugód wypłaciła właśnie ponad 400 mln dolarów ofiarom wykorzystywania seksualnego przez duchownych.

Armenia/Rosja: moskiewska klątwa

Rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa ostrzegła, że ci, którzy „prześladują" Apostolski Kościół Ormiański, zostaną „przeklęci". W tle jest bezprecedensowy proces katolikosa Garegina II i sześciu biskupów tego Kościoła.

Sprawa dotyczy konfliktu wokół biskupa Gevorga Saroyana, którego w styczniu br. katolikos Garegin II odwołał z funkcji zwierzchnika diecezji Masyatsotn. Hierarcha zaskarżył decyzję do sądu, a ten nakazał, aby do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia pozostał na stanowisku. Prokuratura zarzuca Gareginowi II i sześciu biskupom, że wykorzystując swoje stanowiska utrudniali wykonanie tego prawomocnego orzeczenia. Proces od początku grzęźnie w proceduralnych zawiłościach. Trzech kolejnych sędziów wycofało się z prowadzenia sprawy, a we wrześniu br. zrezygnował również prokurator. Obrona wystąpiła już o umorzenie postępowania, argumentując, że decyzje dotyczące statusu biskupa należą do wewnętrznych spraw Kościoła i nie powinny być przedmiotem odpowiedzialności karnej. Pomóc postanowiła Moskwa. Tym razem jednak zamiast sankcjami straszy klątwą.

fot. X

Tajlandia: seks mnicha

Opat jednej z najważniejszych tajskich świątyń został przyłapany na seksie z kobietą. Na tym jednak problemy 66-letniego mnicha się nie kończą.

Phra Wachirayan Wi kierował XIV-wieczną świątynią Wat Phutthaisawan w Ayutthayi, mającą status królewskiego klasztoru. Nagranie, na którym widać, jak uprawia seks z kobietą, stało się w sieci viralem. Para została już zatrzymana. Nie chodziło jednak o seks. Według ustaleń śledczych, 47-latka miała pomagać mnichowi w defraudacji świątynnych pieniędzy. Łączną wartość spowodowanych przez parę szkód oszacowano na 215 mln bahtów, czyli niemal 25 mln zł. Ustalono też, że 89 mln bahtów przeznaczonych na remont świątyni oraz prawie 3 mln ze sprzedaży buddyjskich amuletów nigdy nie trafiło na klasztorne konto. Opat stracił stanowisko i został wydalony ze stanu duchownego. Teraz już nie musi unikać „ziemskich przyjemności", choć bez 25 baniek może być z tym problem.

Brazylia: krzyż za 30 mln

W liczącym 60 tys. mieszkańców Cruz Alta powstaje drugi najwyższy krzyż świata. Będzie miał 102 metry wysokości, a wokół niego mają znaleźć się park tematyczny, kolejka linowa i sad z „biblijnymi" owocami.

Inicjatorem budowy megakrzyża jest kongresmen Bibo Nunes, który na początku „inwestycji" twierdził, że wystarczy na nią 15,5 mln reali brazylijskich. Teraz koszt budowli sięgnął już 30 mln reali, czyli ok. 5,4 mln euro. Skąd to niedoszacowanie? Nie wiadomo, ale znaczenie może mieć fakt, że pieniądze na krzyż pochodzą z tzw. *emendas pix*. To specjalne poprawki budżetowe, dzięki którym parlamentarzyści mogą kierować środki publiczne do wybranych miejsc bez wskazywania szczegółowego przeznaczenia pieniędzy. Ten mechanizm od lat budzi zarzuty dotyczące braku przejrzystości i jest przedmiotem sporu przed brazylijskim Sądem Najwyższym. Nunes jednak szczególnie upodobał sobie ten fundusz. Z publicznych pieniędzy sponsorował już m.in. koncert gospel.

Francja: (Nie)Boże Narodzenie

W Pleurtuit z Bożego Narodzenia zostanie wszystko oprócz… Boga.

Rada miejska przegłosowała dla organizowanego w grudniu świątecznego festynu nazwę Zaczarowana Wioska 2026. Opozycja chciała, by impreza nazywała się Zaczarowana Wioska Bożonarodzeniowa. Argumentowano, że Boże Narodzenie jest częścią francuskiej historii, dziedzictwa i tradycji. Bezskutecznie. Większość radnych, z burmistrz Christine Colas na czele, odrzuciła propozycję. Choinki, dekoracje i grudniowa atmosfera zostają, znika tylko Chrystus. Francuzi udowadniają, że nawet Boże Narodzenie da się przeżyć całkiem po świecku.

Czechy: pielgrzymka pokutna

Arcybiskup Pragi Stanislav Přibyl wzywa wiernych do pielgrzymki pokutnej za… grzechy popełnione w Kościele. Powód jest ten sam co zwykle: w archidiecezji wybuchły kolejne skandale.

Według zapowiedzi, 5 października br. duchowny wraz z wiernymi wyruszy do sanktuarium w Hájku, aby modlić się o przebaczenie i zadośćuczynienie za grzechy popełnione w Kościele. To dziwny zbieg okoliczności. Niedawno Antonín Jurigi, stały diakon i były dyrektor wykonawczy jego archidiecezji, usłyszał zarzuty gwałtu, nadużyć, wymuszenia i gróźb. Śledczy badają również możliwe przestępstwa finansowe. Přibyl zapowiedział, że podczas pielgrzymki sam będzie „pierwszy prosił o przebaczenie", bo – jak stwierdził – „jest również grzesznikiem". Może pielgrzymka ma zabić czas oczekiwania na kolejne prokuratorskie zarzuty?

Stronę redaguje **Wanda Kwiecień**

eprasa.pl 46ae2859af

POLETKO PANA B.©

WYWALONE W KOSMOS

Po dwuletniej przerwie wznawia pracę sejmowa komisja aborcyjna. Ma do rozpatrzenia cztery projekty: Lewicy i KO – depenalizacja pomocy w aborcji; Lewicy – legalne usunięcie ciąży do 12. tygodnia; KO – jak wyżej, prawie identyczny; dawnej Trzeciej Drogi – powrót do „kompromisowej" ustawy z 1997 r. Wiadomo, że Nawrocki zawetuje każdy z nich, ale przynajmniej koalicja dotrzyma ważnej obietnicy wyborczej. Odbyło się więc 11-godzinne wysłuchanie publiczne, zdominowane przez religijnych oszołomów, a potem uzgodniono, że Lewica poprze projekt Trzeciej Drogi, choć wcześniej odrzucała powrót do „kompromisu", zaś resztki Trzeciej Drogi – depenalizację. Była większość dla tych dwóch projektów. I nagle krach, decydujące posiedzenie komisji odwołano, bo – jak dowiaduje się „Wyborcza" – był telefon z Kancelarii Premiera! Podobno premier wystraszył się, że koalicja jednak się nie dogada. „Ktoś nam wywalił w kosmos całą układankę" – mówią progresywne posłanki. To one świecą dziś oczami przed elektoratem, podczas gdy Tusk uprawia poważną „męską" politykę – przygotowuje kraj do wojny. Platformersi wracają do swego kodu genetycznego z lat 90. Może wyruszą teraz na modły do Łagiewnik?

OBROŃCY TRYBUNAŁU

Spodziewając się szturmu policji i wyprowadzenia „Godzilli" Święczkowskiego w kajdankach, PiS ściągnęło swoich zwolenników z całej Polski, by rozbić przed siedzibą Trybunału Konstytucyjnego w Alei Szucha obóz jego obrońców. Koczują tam głównie starsi ludzie, pobożni i silnie zindoktrynowani, słuchacze niedzielnych kazań i wierni widzowie TV Republika. Wiele o nich mówią zdjęcia tego zgromadzenia: tu unosi się nad tłumem, jakby frunęła, biała figura Matki Boskiej z bukietem sztucznych róż u stóp, tam dziarski 60-latek wymachuje Jezusem na krzyżu, tak solidnym, że można nim komuś przyłożyć, gdyby doszło do konfrontacji (do której bardzo by chcieli doprowadzić organizatorzy tego spędu – cóż to będzie za widok, gdy szwadrony Tuska zaczną pacyfikować rozmodlonych staruszków!). Fenomenu wielokrotnych zwycięstw PiS i jego rządu dusz, sprawowanego nad mniej więcej jedną piątą wyborców, nie da się zrozumieć bez studiów z socjologii religii. Ślepo wierzyć w absurdy – to klucz do zaczadzonych umysłów.

PATOPIELGRZYMKI

Przeładowane do granic programy, nocne przejazdy i kierowcy, którzy zamiast odpoczywać, śpią byle gdzie. Wyjazd ma być tani. Tylko czasami kończy się to tragedią" – opisuje „Newsweek" polskie pielgrzymki. To im przydarzyły się cztery spośród pięciu najtragiczniejszych wypadków polskich autokarów w ostatnim ćwierćwieczu. „Firmy krzak" oszczędzają na bezpieczeństwie, a ich klienci, to najczęściej osoby starsze, które rzadko podróżują i bez zastrzeżeń ufają organizatorom. Nie pytają o czas pracy kierowców, nie zapinają pasów w autokarze. Kilkadziesiąt biur i parafii organizuje pielgrzymki do Medjugorie w Bośni i Hercegowinie. Nierzadko są to objazdówki po Chorwacji, z wizytą w Medjugorie, codzienną mszą, drogą krzyżową czy różańcem, ale także z bogatym programem zwiedzania. Zakończona katastrofą (12 ofiar śmiertelnych) sierpniowa pielgrzymka wyruszyła ze Strzyżowa na Podkarpaciu: 1 100 km w jedną stronę, nocny przejazd przez Słowację, Węgry i Chorwację, codziennie wycieczki, w ostatnim dniu msza w Medjugorje i powrót do domu, po drodze jeszcze spacer po Sarajewie; 8 dni atrakcji za 890 zł plus 230 euro. I gwarantowana opieka Matki Boskiej.

POLSKA SCHIZMA

Radio Maryja jest już *passe*. Radykalny nowy katolik ma teraz nowe media, oczywiście internetowe. Niejaki Dawid Mysior prowadzi youtubowy kanał „Sprawki Okiem Katolika" ze 125 tysiącami subskrybentów. „Witam cię, człowieku rozumny" – rozpoczyna swoje programy. Tropiąc, kogo Leon XIV przyjął na audiencji prywatnej i czemu poświęcił 100 ostatnich wpisów na platformie X, demaskuje go jako odstępcę od prawdziwej wiary, który nie używa kluczowych dla katolika słów „dusza" i „zbawienie", za to 34 razy wspomniał o „pokoju" (jak mógł?!). O imigrantach papież mówi: „Godność ludzka nie ma paszportu", Mysior zaś – „Masa krytyczna nachodźców została przekroczona"; jego zdaniem, nie ma już pokojowego sposobu na uratowanie Europy (do nachodźców trzeba strzelać?). Broni też ekskomunikowanych lefebrystów. Gwiazdą „Sprawek" jest Grzegorz Braun. Wyznał Mysiorowi, że nosi opaskę na oku, gdyż zdiagnozowano u niego odwarstwienie siatkówki. „Odkleiło się oczko temu misiu" – żartuje. Całe szczęście, że było to oko katolika.

CMENTARZ BEZ KRZYŻY

W Gdańsku powstanie pierwszy cmentarz ekologiczny. Biodegradowalne urny, bez nagrobków i symboli religijnych, spoczną w „zielonej kwaterze" wśród drzew. Teren będzie ogrodzony i otoczony żywopłotem, przed ogrodzeniem zaś znajdzie się specjalne miejsce dla odwiedzających. To tam będzie można złożyć kwiaty, zapalić ekologiczne świece. Obok staną dwie tablice: jedna z informacją, czym jest to nowe miejsce pochówku, druga z listą nazwisk pochowanych – a właściwie rozłożonych w leśnej ściółce – osób. Podobne cmentarze, zwane Lasami Pamięci, są już w Łodzi, Poznaniu, Krakowie, Szczecinie. Kościół wykorzystał cały swój potężny wpływ na polityków, żeby nie dopuścić do zmiany uchwalonej w 1959 r., archaicznej ustawy o cmentarzach i chowaniu zmarłych (nowelizacja miała pozwolić rodzinie rozsypać prochy zmarłego w miejscu, które lubił, albo trzymać je w urnie na kominku). A jednak rynek okazał się silniejszy, popyt wywołał podaż, Lasów Pamięci nikt już nie zablokuje.

STRZAŁ W STOPĘ

Nie chcemy wprowadzać przymusu uczestnictwa w lekcjach religii. Uczeń może wybrać: albo lekcje religii, albo etyka, ale jakieś wychowanie do wartości w szkole musi być" – powiedział PAP przewodniczący Komisji Wychowania Katolickiego KEP bp Wojciech Osial. Łaskawcy – mogliby wprowadzić przymus, ale nie chcą!... Bezczelność biskupów wzrosła, gdy stało się jasne, że koalicja 15 października nie będzie solidarnie działać w sprawie świeckiej szkoły. PSL wspiera „obywatelski" projekt katechetów, zgodnie z którym uczeń ma do wyboru obowiązkową religię albo równie obowiązkową etykę, a ponieważ nauczycieli etyki jest niewielu, w praktyce będzie to przymusowa indoktrynacja religijna, niezgodna z konstytucją, a nawet konkordatem. Zważywszy jednak na fakt, że na religię chodzi ok. 90 proc. uczniów podstawówek (w ostatnich klasach 35 proc.) i 43 proc. uczniów szkół ponadpodstawowych, a w elitarnych liceach już tylko niedobitki – łatwo przewidzieć, że spełnienie marzeń Osiala skończy się antykościelną młodzieżową rewoltą.

DROGI DO WYJŚCIA

Wydawnictwo WAM rzuciło na rynek „Księgę Wyjścia. Jak Polacy odchodzą z Kościoła" Agnieszki Szelągowskiej-Mironiuk. Znajdziemy tam solidną analizę psychologicznych motywów „wyjść", z których każde jest inne, a jednak tworzą spójną opowieść. Autorka „próbuje ukazać złożoność decyzji o apostazji (tej formalnej i nieformalnej także), wyzwanie, jakim ona niekiedy jest dla samoświadomości, ale i relacji rodzinnych. Jest w tej książce także pytanie o powroty. Ale może najsilniejszą (dla mnie) jej stroną są emocje ludzi, ich gorycz, żal, a niekiedy radość. I nie, nie mówię tylko o tych, którzy podjęli decyzje, ale także o ich bliskich. Wiele jest w tej opowieści empatii dla ludzi" – recenzuje Tomasz Terlikowski.

Stronę redaguje **Dorota Wróblewska**

eprasa.pl 46ae2859af

Demony i rekordowy pozew

Trzy kobiety pozwały pięć diecezji i dwa zakony. Łącznie domagają się 19,7 mln zł zadośćuczynienia.

Przytrzymywanie, wykręcanie rąk, krępowanie pasami, wciskanie krzyża między zaciśnięte zęby, smarowanie olejami miejsc intymnych – tego podczas około stu sesji egzorcyzmów miały doświadczać z rąk księży trzy młode kobiety, wśród nich Irena i Natalia (imiona zmienione). Kościół nie uznaje swojej winy i przekonuje, że egzorcyści działali samodzielnie.

Diecezja warszawsko-praska

Koszmar młodych kobiet rozpoczął się w 2009 r., gdy trafiły na spotkania oazowe. Ubierały się na czarno, słuchały metalu i fascynowały wampirami. Wspólnota zaczęła podejrzewać, że mogą być opętane. Pod wpływem sugestii duchownych Natalia zaczęła dopuszczać myśl, że jej problemy mają nadprzyrodzone źródło. Wtedy na jej drodze pojawił się ks. Marcin, egzorcysta diecezji warszawsko-praskiej. Początkowo miał jej dawać poczucie bezpieczeństwa i przekonywać, że wie, jak pomóc. Poddała mu się całkowicie.

Ksiądz miał przekonywać pokrzywdzone, że muszą znosić cierpienie, żeby zostać uwolnione od demonów. Kiedy chciały przerwać katusze, miały słyszeć, że nie mogą się poddawać. Według ich relacji, egzorcyzmy stawały się coraz bardziej brutalne, a ksiądz kontrolował coraz więcej obszarów ich życia. Z czasem do sesji dołączyli inni księża. Duchowni mieli dotykać kobiety w miejscach intymnych, przyciskać je do podłoża całym ciężarem ciała, rzucać seksualne aluzje i wbrew ich woli całować. Ks. Marcin miał tłumaczyć to słowami: „Demonom najłatwiej wejść przez genitalia". Irenę miał też namaszczać olejem w miejscach intymnych.

W pewnym momencie obie kobiety zamieszkały na plebanii ks. Marcina. Według relacji pokrzywdzonych, odbierano im karty SIM z telefonów, zamykano na klucz i nakazywano ukrywać się przed wiernymi. Ksiądz miał też sypiać z nimi w jednym łóżku tłumacząc, że „szatan jest najgroźniejszy w nocy".

mec. Jarosław Głuchowski

Diecezja kielecka

Po latach ks. Marcin uznał, że „demon jest zbyt silny" i przekazał kobiety ks. Piotrowi z diecezji kieleckiej. Tam przemoc miała się nasilić. Kobiety miały być przypinane pasami do specjalnego łóżka wykonanego na jego zamówienie. Ksiądz miał wlewać im do ust wodę święconą, zatykać nos i wciskać krzyż między zaciśnięte zęby.

Potężne roszczenia

Obaj duchowni zostali odsunięci od funkcji egzorcystów – ks. Piotr w 2017 r., a ks. Marcin w 2022 r., nadal jednak pozostają księżmi. Jeden z nich pracuje jako kapelan szpitalny, a drugi jeszcze niedawno prowadził rekolekcje dla dzieci.

W 2018 r. Prokuratura Rejonowa w Wołominie umorzyła śledztwo w tej sprawie. Skargę na tę decyzję rozpatruje obecnie Europejski Trybunał Praw Człowieka. Co ciekawe, ta sama prokuratura umorzyła przed laty także postępowanie przeciwko ks. Grzegorzowi Kocięckiemu. W 2013 r. Sąd Rejonowy w Otwocku skazał go na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na cztery lata za molestowanie nieletniego ministranta, a w styczniu 2014 r. Sąd Okręgowy Warszawa-Praga utrzymał ten wyrok w mocy.

W jednym z warszawskich sądów czeka pozew cywilny przeciwko pięciu diecezjom, m.in. kieleckiej i warszawsko-praskiej, oraz dwóm zakonom: dominikanom i karmelitom bosym. Poszkodowane domagają się łącznie 19,7 mln zł: 5,2 mln zł dla Ireny, 4,3 mln zł dla Natalii i 10,2 mln zł dla trzeciej pokrzywdzonej.

– Kościelni prawnicy podnoszą m.in., że kobiety były pełnoletnie i dobrowolnie uczestniczyły w egzorcyzmach, kwestionują ich relacje oraz wskazują na przedawnienie roszczeń. Twierdzą też, że egzorcyści działali autonomicznie i nie podlegają biskupowi w sposób pozwalający przypisać diecezji odpowiedzialność na podstawie art. 430 kodeksu cywilnego – mówi „FpM" mec. Jarosław Głuchowski, pełnomocnik kobiet. – Nie spodziewaliśmy się niczego innego. Ta argumentacja nie jest jednak skuteczna, co wielokrotnie potwierdzały polskie sądy. Dziwi nas więc, że zamiast zawrzeć ugodę, Kościół woli się procesować, przedłużając traumę pokrzywdzonych – podsumowuje mecenas.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Święta deweloperka

Według szacunków radnych Gdyni, Zgromadzenie Sióstr Świętej Elżbiety mogło narazić miasto na ponad milion złotych strat.

Przez lata w przedwojennym pensjonacie znajdującym się w gdyńskiej dzielnicy Orłowo siostry elżbietanki prowadziły jeden ze swoich klasztorów. W 2020 r. złożyły w magistracie wniosek o zmianę planu miejscowego zagospodarowania. Choć zgromadzenie nie miało pieniędzy na inwestycję, a liczba zakonnic spadała, siostry zadeklarowały chęć budowy nowego zespołu obiektów sakralnych. Jeszcze w tym samym roku Rada Miasta Gdyni przystąpiła do zmiany planu. Niespełna rok później zakonnice wyprowadziły się z zajmowanego obiektu. Nie przeszkodziło im to jednak w wysyłaniu do ratusza kolejnych wniosków dotyczących m.in. zmiany funkcji obiektu z sakralnej na usługową. Przedstawiciele Stowarzyszenia Nasze Orłowo ostrzegali wtedy, że zakonnicom wcale nie chodzi o rozbudowę klasztoru, ale o zwykłą transakcję biznesową. Stało się dokładnie tak, jak przewidzieli aktywiści. W grudniu 2023 r. po opublikowaniu w Biuletynie Informacji Publicznej (BIP) miasta pierwszego projektu nowego planu miejscowego, nieruchomość została sprzedana znanemu gdyńskiemu deweloperowi – Invest Komfort.

Radny na tropie

– Można zadać pytanie: co z tego, że siostry z dużym prawdopodobieństwem wprowadziły radnych miasta w błąd? – pyta radny Gdyni Łukasz Piesiewicz. – Odpowiedzią jest opłata planistyczna. Potocznie nazywana rentą planistyczną jest jednorazową daniną na rzecz gminy, którą trzeba zapłacić, jeśli sprzedaje się nieruchomość, a jej wartość wzrosła z powodu uchwalenia lub zmiany miejscowego planu. (…) W omawianej sytuacji sprawa jest oczywista. Zmiana z obowiązujących funkcji usług kultury (UK) na ogólne usługi (U), w tym komercyjne dopuszczające apartamenty inwestycyjne oraz korzystniejsze parametry zabudowy, obiektywnie zwiększyłyby wartość nieruchomości. W wypadku planu i przedmiotowej działki w Orłowie opłata mogła wynosić setki tysięcy, a nawet ponad milion złotych – tłumaczy. Zaznacza, że nie jest przeciwny współpracy samorządu z deweloperem, ale – według niego – ta współpraca „powinna być transparentna i korzystna dla miasta".

fot. Booking.com

Bizancjum…

Wiadomość o fortelu zakonnic poruszyła Gdańszczan: „Kolejny przykład na to, że Kościół jest bardzo przedsiębiorczy, ale tym razem siostrzyczki raczej przegięły"; „Zawsze kler miał smykałkę do biznesu, nawet siostrzyczki"; „Pasożyty. Państwo polskie powinno natychmiast ogólnym rozporządzeniem odebrać wszystkie nieruchomości i ziemie kościołowi! To, co wyrabiają pseudoksięża woła o pomstę do nieba! To już nie kościół, tylko Bizancjum na terenach oddanych przez skarb państwa za darmo. Teraz kler sprzedaje państwowe mienie za miliardy zł!" – komentują.

Sprytny plan zakonnic pokrzyżowali miejscy radni. Mimo niedawnego rozpadu koalicji rządzącej Gdynią, podczas ostatniej sesji wszyscy radni i władze miasta mówili jednym głosem. Podjęli decyzję o odstąpieniu od uchwalania nowego planu zagospodarowania miejscowego.

Obecnie w dawnym klasztorze działa krótkoterminowy najem lokali. Cena za dwie noce w pokoju 2-osobowym z łazienką i śniadaniem to koszt około 400 zł. Obiekt zbiera kiepskie oceny. Chyba nie na to liczył deweloper.

Wanda Kwiecień

eprasa.pl 46ae2859af

O wyższości religii nad innymi odchyłami

Każdy ma prawo do odchyłu, ale nie wszystkie odchyły są jednakowo odchylone od pionu. Te najbardziej uznaje się za „normę", przez co pion stracił swoje naturalne znaczenie. Ale to już, oczywiście, problem pionu, a nie odchyleń.

Skoro jedni mają zmartwychwstanie, to inni mogą mieć kosmitów, reptilian czy Tartarię. Swoją drogą, Tartaria łączy w sobie dużo ciekawych teorii; jej zwolennicy wierzą, że istniało ogromne, niezwykle rozwinięte imperium – Tartaria właśnie. To starożytne królestwo dysponowało zaawansowaną technologią i darmową energią. Dowodem mają być stare mapy i monumentalna architektura! Niestety, nastąpił potop błotny, a prawdziwa historia została celowo wymazana.

Światowy spisek

Wiadomo, spisek rządów światowych. Trump specjalnie rozwala kolejne państwa, żeby ludzkość nie dowiedziała się o Tartarii i Anunnaki. Ci ostatni genetycznie zaprojektowali *homo sapiens* (ok. 6 000 lat temu) jako siłę roboczą. To przez Anunnaki ludzka dusza wpada po śmierci w pułapkę i zostaje ponownie wprowadzona do systemu.

Religie mają swoją konkurencję. Opowieści o doktorze o jakże swojskim nazwisku Kowalski przetoczyły się przez chatbot, stworzony przez firmę xAI Elona Muska. Tartarię odgrzano na Tik-Toku i tam też skonstruowano opowieść o Anunnaki. Trumpa sama dodałam, bo nie lubię tego psychopaty. Jak się zastanowić, czym różnią się te opowieści od tej o Janie Szkocie Eriugenie, nauczającym w opactwie Malmesbury w Anglii, to wyjdą nam ciekawe zbieżności.

Popyt na bzdury

Uczniowie Jana Szkota Eriugeny (ok. 810-ok. 877) mieli go zabić rylcami, ponieważ – jak żalili się po fakcie – „zmuszał ich do myślenia". Śledztwo przeprowadzono tylko dlatego, że nad jego grobem ukazały się światła, zaczęły rosnąć kwiaty i pięknie pachniało. Rzecz jasna jedyna różnica jest taka, że Eriugena faktycznie istniał i zostawił po sobie ciekawe dzieła filozoficzne, a resztę wymyślił sobie Wilhelm z Malmesbury (ur. ok. 1080--1095, zm. ok. 1143). Pewnie się chłopakowi nudziło albo chciał przestrzec innych wykładowców, że opowiadanie ciągle tych samych anegdot grozi złymi opiniami studentów na koniec semestru.

Od dawna fascynuje mnie, jak bardzo ludzie potrzebują bzdurnych opowieści. Bajki i fantazje nie wystarczają ludzkości, dlatego od zarania dziejów jak nie mity, to religie, jak nie religie, to teorie spiskowe albo alternatywna wizja świata. Podróż w głąb ziemi, broń kosmitów, ukryte lądy, płaska ziemia, obcy rządzący światem, rządy światowe trzymające sztamę i dla pozoru wypowiadające sobie wzajemnie wojny.

W naszych głowach kłębi się od przepalonych neuronów, poplątanych idei i koncepcji. Do tego raz po raz co bardziej wiernych jak nie rzuci na kolona, jak nie pozwoli spać spokojnie, jak nie każe założyć foliowej czapeczki, by chronić myśli, to zmusi do wyprawy na koniec świata. I są śmiałkowie, którzy podróżują na skraj dysku, by wykazać, że Ziemia jest płaska lub na Antarktydę, gdzie jest ukryte wejście do starej cywilizacji Agartha. Proszę też pamiętać, że my, Polacy, pochodzimy od Lechitów! Wielka Lechia, co oczywiste, była mocarstwem obejmującym znaczną część Europy, dysponującym potężną armią, rozwiniętą metalurgią, własnym pismem, pieniądzem i rozbudowanym ustrojem politycznym. I żeby było jasne: Lechici skutecznie walczyli z Rzymianami, Aleksandrem Macedońskim, a nawet Juliuszem Cezarem. Polacy nie gęsi swoją teorię spiskową też mają!

Istota sekciarstwa

Przyglądając się tym wszystkim fantastycznym cudom intelektu ludzkiego nie dziwi zatem, że ktoś kiedyś wpadł na pomysł, że bóg wysłał swojego syna na śmierć, by zbawić ludzkość. Problem polega tylko na tym, że akurat tej opowieści nie uznano za teorię spiskową, a za fakt. I tu dochodzimy do fundamentów definicji religii. Wiele osób wierzących oburza się, gdy mówi się o nich jako o sekciarzach. Więc żeby nie obrażać niczyich uczuć religijnych, proponuję nową definicję, która nie będzie miała nic, ale to nic wspólnego z sektą.

Religia to stan umysłu, w którym nie odróżnia się teorii spiskowej od prawdy. W końcu z reptilian ludzie się śmieją, a płaskoziemcy mają ciężki los. Ludzi w foliowych czapeczkach (służących do ochrony przed śmiercionośnym promieniowaniem bądź wyjadaniem ich myśli przez wielkich Anunnaki) raczej pakuje się do szpitala, a nie na ołtarze. A w wypadku osób, które widzą na drzewie postać Matki Boskiej albo Jezusa, czy tych co to gadają z płonącymi krzakami – pada się na kolana. Więc co różni jednych od drugich? Jedynie założenie, że tym razem to nie jest teoria spiskowa, a prawda „objawiona"!

A więc religia to coś bardzo poważnego, a jak Państwo nie wierzą, proszę zerknąć na internetową stronę parafii w Medjugorje. 25 września br. wizjonerka Marija Pavlović-Lunetti przeżyła kolejne objawienie Matki Bożej. Na podstawie jej relacji opublikowano orędzie Maryi, wzywające do modlitwy o pokój. I nikt nie dzwonił po psychiatrę, tylko ludzie się modlili. I to jest dowód na… No właśnie, na co?

prof. Joanna Hańderek

Fundusz bez likwidacji

Platforma Obywatelska obiecała zlikwidować Fundusz Kościelny. Tymczasem w projekcie budżetu na 2027 r. zapisano na niego rekordowe 283,56 mln zł. To o 11 mln więcej niż w 2026 r.

Pieniądze z Funduszu Kościelnego w zdecydowanej większości finansują składki na ubezpieczenia społeczne duchownych. Choć punkt 16. programu „100 konkretów na pierwsze 100 dni" Platformy Obywatelskiej brzmiał: „Zlikwidujemy Fundusz Kościelny", pewne jest, że w przyszłym roku pobije on rekord wysokości.

Po wyborach Donald Tusk powołał Międzyresortowy Zespół do spraw Funduszu Kościelnego. Na jego czele postawił kościołolubnego Władysława Kosiniaka-Kamysza. Zespół miał przygotować propozycje zmiany sposobu finansowania składek duchownych i funkcjonowania Funduszu. Jednym z analizowanych wariantów był dobrowolny odpis podatkowy w wysokości 2 proc. należnego PIT. Według informacji przedstawionych przez wiceministra obrony Pawła Bejdę, rozwiązanie to mogłoby jednak kosztować budżet państwa znacznie więcej niż obecny fundusz. Przy założeniu, że z odpisu skorzystałaby połowa podatników, koszt wyniósłby około 2 mld zł rocznie, a przy jednej czwartej – około 1 mld zł.

„(…) Warianty generujące wydatki przewyższające obecny poziom finansowania nie uzyskały dotychczas akceptacji Ministra Finansów, który wskazuje na konieczność uwzględnienia aktualnych uwarunkowań budżetowych państwa" – czytamy w piśmie Bejdy.

Na stole jest jeszcze projekt ustawy lewicy z 2025 r. Zgodnie z nim, składki duchownych współfinansowaliby po równo duchowni (jako pracownicy) i związki wyznaniowe (jako ich pracodawcy). Z tej zasady byliby wyłączeni zakonnicy i misjonarze, którzy nie mają dochodów. W takich wypadkach 100 proc. składki płaciłby związek wyznaniowy. Inny wariant proponuje jeden z obywateli w ubiegłorocznej petycji, która wpłynęła do Sejmu. Domaga się w niej, aby tak jak w Niemczech każdy wierzący płacił podatek kościelny (*Kirchensteuer*). Wyliczył nawet, że osoba zarabiająca 5 tys. zł płaciłaby na Kościół ok. 400 zł miesięcznie, a gdy zarobek sięgałby 8 tys. zł, danina wzrastałaby do 640 zł miesięcznie. W Niemczech, aby go nie płacić, trzeba formalnie wystąpić z Kościoła. Można to zrobić w urzędzie stanu cywilnego i w sądzie. Odmowa płacenia oznacza ekskomunikę. Trzeba jednak przyznać, że poza lewicą nikt w rządzie nie jest specjalnie zainteresowany wprowadzaniem odpisu podatkowego na Kościół i zlikwidowaniem Funduszu Kościelnego. Wiąże się to bowiem z przebudową aparatu skarbowego, zatrudnieniem dodatkowych ludzi, a skutek w postaci oszczędności, w zależności od ustalonego poziomu odpisu podatkowego, trudno nawet oszacować.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl 46ae2859af

Pytania dotyczące Biblii (259)

Święto Matki Bożej Różańcowej

„Siódmego października katolicy obchodzą święto na cześć Marii, nazwane świętem Matki Bożej Różańcowej. Chciałbym poznać historię, okoliczności i twórcę tego święta oraz czy święto to, jak i odmawianie różańca ma biblijne uzasadnienie”.

Zacznę od tego, że Maria zajmuje szczególne miejsce w liturgii Kościoła katolickiego. Ale kult ten rozwinął się dopiero po soborze efeskim (431 r.), kiedy włączono Marię do sfery boskiej, nadając jej tytuł Bogurodzicy (*Theotokos*).

Pochodzenie święta

Obchodzenie wspomnianego święta zapoczątkował w 1571 r. papież Pius V, który chciał w ten sposób uwieńczyć zwycięstwo nad otomańską Turcją pod Lepanto. Obowiązującym świętem dla wszystkich katolików uczynił je jednak dopiero Klemens XI w 1716 r. Nawiązuje ono zarówno do Marii, jako „królowej różańca świętego”, jak i do wspomnianego zwycięstwa. Jak do niego doszło?

Od czasów wypraw krzyżowych stroną „zaczepną” w konfliktach pomiędzy muzułmanami a katolickimi państwami Europy zwykle było papiestwo. Podobnie miało to miejsce w wypadku wielkiej bitwy morskiej w Zatoce Korynckiej pod Lepanto (7 października 1571 r.); choć nie bez winy samych Turków, ekspansywnie nastawionych do krajów Europy. Konfrontacja sił: tureckiej floty morskiej z tzw. Świętą Ligą (składającą się z floty hiszpańskiej, weneckiej, papieskiej i kawalerów maltańskich), zakończyła się druzgocącą klęską Turków. O zwycięstwie zdecydowały zarówno zdolności strategiczne samego dowódcy don Juana d’Austria, który był nieślubnym synem Karola V, jak i przewaga militarna Świętej Ligi.

Mimo oczywistych faktów dotyczących zwycięstwa, Pius V nie omieszkał w znacznym stopniu przypisać zasług sobie i… Marii, której był żarliwym wyznawcą. Twierdził otóż, że gdy odmawiał różaniec, otrzymał od Marii widzenie z obietnicą pomocy oraz zwycięstwa nad Turkami.

Kim był Pius V?

Michał Ghislieri (1504-1572), bo tak właśnie nazywał się późniejszy papież Pius V, był fanatycznym sługą Kościoła. Wkrótce po ukończeniu teologii wstąpił do zakonu dominikanów, by w roku 1557 zostać kardynałem, a w 1558 r. wielkim inkwizytorem Świętego Oficjum. Ghislieri dał się poznać jako bezlitosny prześladowca Żydów, protestantów i wszystkich, na których choćby tylko rzucono podejrzenie o herezję. Patologiczny fanatyzm i nienawiść wielkiego inkwizytora do „heretyków” wyrażają jego – już jako papieża – słowa: „Cienia litości! Nie wolno wybaczać! Usuwaj tych, którzy się ugną, i tych, którzy trwają w uporze. Ścigaj ich do ostatka, zabijaj, pal, zatop wszystko w ogniu i we krwi, aby pomścić Pana” (J. Mathieu-Rosay, „Prawdziwe dzieje papieży”, s. 330).

Wybrany na papieża 18 stycznia 1566 r., w tym samym roku wydał *Catechismus Romanus* (katechizm przeznaczony dla księży), w którym zalecał, pochwalał i wywyższał dziewictwo i celibat. Narzucił mieszkańcom Rzymu wręcz ascetyczny tryb życia. Nieposłusznym groził wiecznymi mękami w ogniu piekielnym. Nakazywał ściśle przestrzegać wszystkich świąt kościelnych, a szczególnie niedziel.

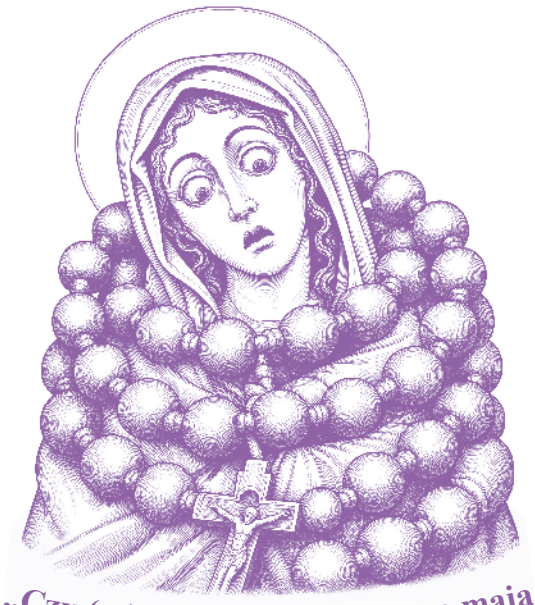

„Czy (…) modlitwy różańcowe mają sens? Odpowiedź może być tylko jedna: Biblia nie daje najmniejszych nawet podstaw dla takich modlitw”.

Jak już wspomniałem, Pius V był inspiratorem wielu przedsięwzięć prześladowczych. Wspierał finansowo oraz militarnie Katarzynę Medycejską – inspiratorkę nocy świętego Bartłomieja, finansował i dozbrajał Filipa II, aby ujarzmił i zniszczył protestancką ludność Niderlandów. Groził angielskiej królowej Elżbiecie, przeciwko której wydał bullę potępiającą ją za reformatorskie poglądy, dotyczące bezzasadności celibatu i innych zwyczajów katolickich. Z inspiracji Piusa V Inkwizycja zbierała swoje żniwo nawet w Niemczech, gdzie na powrót doszło do „polowania na czarownice”. Pius V uważał, że należy zrobić wszystko, aby co do jednego wytępić wyznawców Lutra i Kalwina. Ponadto, ten samozwańczy namiestnik Chrystusa był chyba największym wrogiem Żydów. Zarzucał im najgorsze przestępstwa, skazywał na utratę pracy, majętności, niewolniczą harówkę na rzecz panów katolickich. W roku 1569 wydał bullę *Hebrorum geus*, która nakazywała Żydom przejście na katolicyzm. W innym wypadku ich los był przesądzony.

Przypomnę, że Pius V został kanonizowany 22 maja 1712 r. Za jakie to zasługi uznany został za świętego, doprawdy trudno odgadnąć.

Historia różańca

Historia powstania różańca sięga zamierzchłej przeszłości i związana jest m.in. z hinduizmem, buddyzmem tybetańskim, zwyczajami mnichów egipskich oraz mnichów muzułmańskich. Do powtarzania i liczenia modlitw w hinduizmie już na kilka wieków przed Chrystusem używano różańca. Z podobną praktyką spotykamy się też w innych nurtach religijnych. Na przykład, jedna z nieistniejących już sekt muzułmańskich – Bektaszijja – odmawiała jakiś werset Koranu z wezwaniem Allaha, co przyczyniało się do popadania w ekstazę i – jak pisze ks. Jan Wierusz Kowalski – praktyka ta zwykle „prowadzi do atrofii umysłu, świadomego stępienia zdolności myślenia. Monotonia rytmu i modlitwy przygotowują do chwili, w której modlący się wpada w trans, co uważane jest za szczyt przeżycia mistycznego” („Świat mnichów i zakonów”, Warszawa 1972, s. 118-119).

Na powstanie różańca w obecnej postaci wpływ miały więc różne czynniki: wcześniejsze praktyki powtarzania i liczenia modlitw w innych religiach, pierwsze dwa dogmaty maryjne i późniejsze zwyczaje odmawiania psalmów z pozdrowieniem anielskim (Łk 1,38), głównie w środowiskach zakonnych beginek, kartuzów i dominikanów. Tak zwane pozdrowienie anielskie („Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą…”), przybrało jednak na znaczeniu dopiero na przełomie XI i XII w., a modlitwa ta zawierała jedynie słowa Gabriela i Elżbiety (Łk 1,28.42). W niektórych zakonach pojawiła się wtedy praktyka zmawiania tego pozdrowienia 150 razy z rzędu (!), nawiązując do liczby psalmów. A że „w kręgach sióstr zakonnych i beginek używano również określeń: *hoedekin, châtelet, petit, château* (…) oznaczające koronę, wieniec z kwiatów (…) stąd utarła się nazwa różaniec – wieniec z róż” (ks. Bogusław Nadolski, „Liturgika” t. II, Poznań 1991, s. 149).

Największy wpływ na rozpowszechnienie różańca mieli jednak dominikanie oraz papieże: Sykstus IV, Pius V, Leon XIII. Sykstus IV ustanowił w 1476 r. święto Niepokalanego Poczęcia (8 grudnia). Ale znany jest on również z kazirodczego związku ze swoją siostrą, z nepotyzmu, symonii, handlu relikwiami oraz mianowania T. Torquemady królewskim inkwizytorem generalnym. Z kolei wspomniany już Pius V w 1568 r. ustalił ostateczną treść modlitwy różańcowej, zawierającą prośbę do Marii (trzecią część). Codzienne odmawianie różańca wprowadził Leon XIII (1878-1903), który wydał aż 16 pism poświęconych modlitwom różańcowym.

Oczywiście, do wzrostu popularności różańca przyczyniły się również tzw. objawienia maryjne, np. w Fatimie oraz Jan Paweł II, który – jak twierdził – Maryi zawdzięczał swe ocalenie. Czy jednak z biblijnego punktu widzenia modlitwy różańcowe mają sens?

Odpowiedź może być tylko jedna: Biblia nie daje najmniejszych nawet podstaw dla takich modlitw. Mówi, że modlić należy się wyłącznie do Boga, co potwierdził również Jezus, mówiąc: „A wy tak się módlcie: *Ojcze nasz, któryś jest w niebie*” (Mt 6,9). On też powiedział: „A modląc się, nie bądźcie wielomówni jak poganie; albowiem oni mniemają, że dla swej wielomówności będą wysłuchani. Nie bądźcie do nich podobni, gdyż wie Bóg, Ojciec wasz, czego potrzebujecie, przedtem zanim go poprosicie” (Mt 6,7-8).

Bolesław Parma

eprasa.pl 46ae2859af

Tajemnice „wyjaśnionej” zbrodni

Jan Ptaszyński z podlaskiej Michnówki od 21 lat siedzi za podwójne zabójstwo. Tyle że im dokładniej przyglądać się aktom sprawy, tym więcej pojawia się pytań.

Były wątpliwości samych prokuratorów, „rozjeżdżające się” wersje wydarzeń, tajemnicze taśmy i świadkowie, których zeznania wzajemnie się wykluczają. Jest też mleko. Dużo mleka. I właśnie ono może być dla sądowej wersji wydarzeń wyjątkowo niewygodne.

Najpierw „niewinny”

Mariola Sarosiek i jej małoletnia córka Klaudia zostały zamordowane w 2001 r. Za zbrodnię skazano Jana Ptaszyńskiego. Ale początek tej historii nie wyglądał jak prosta droga do dożywocia.

13 marca 2003 r. prokurator Marek Żendzian uznał, że zgromadzone materiały nie pozwalają przyjąć, iż Ptaszyński jest sprawcą zabójstwa. Śledztwo miało zostać umorzone. Wtedy wkroczył ojciec Marioli – J.J. Człowiek, który początkowo opisywał Ptaszyńskiego jako „bliskiego córce i zgodnego z nią”, później zaczął przedstawiać go jako odpowiadającego psychologicznemu profilowi zabójcy. W tej sprawie takich zmian jest więcej.

Dowodów brak, ale...

Śledztwo powierzono prokurator Bożenie Romańczuk. W akcie oskarżenia znalazło się zdanie, które właściwie streszcza problem całej sprawy: bezpośrednich dowodów winy Ptaszyńskiego nie znaleziono, ale zgromadzono – zdaniem prokuratury – szereg „bezspornych dowodów pośrednich”. Zaczęto więc szukać wszystkiego, co mogło Ptaszyńskiego obciążać. Śladów rzekomego alkoholizmu, pobytów w izbach wytrzeźwień. Tyle że świadkowie opisywali go jako abstynenta. Nie przeszkodziło to jednak w budowaniu oskarżenia.

W kwietniu 2004 r. Ptaszyński został tymczasowo aresztowany. I wtedy wydarzyło się coś, co było dla prokuratury dość kłopotliwe. Sąd Apelacyjny w Białymstoku uchylił areszt. Uznał, że zgromadzone dowody nie uzasadniają tak wysokiego stopnia prawdopodobieństwa winy, jaki jest wymagany przy pozbawieniu człowieka wolności. Mówiąc po ludzku: materiał był za słaby. Akt oskarżenia, mimo wszystko, trafił do sądu.

8 czerwca 2004 r., dzień przed wniesieniem aktu oskarżenia, prokurator Romańczuk wystąpiła o zniszczenie nośników z nagraniami rozmów telefonicznych występującego w sprawie Wojciecha R., który przez pewien czas był jednym z podejrzanych o mord. Było ich dziewiętnaście. Treść tych nagrań znał tylko jeden policjant – D.H. To on sporządził 19 notatek, w których stwierdził, że nagrania nie mają znaczenia. Taśmy zniszczono. Człowiek, którego rozmowy nagrano, miał jednak znaczenie dla sprawy.

Alibi w kieszeni

Wojciech R. był partnerem najbliższej przyjaciółki Marioli i... po męsku pragnął denatki. Bywał w jej mieszkaniu, jego odciski znaleziono w łazience, gdzie odkryto ciała. Zachowywał się dziwnie, bo podczas pobierania odcisków, jako jeden z wstępnie zatrzymanych w sprawie tych morderstw miał być agresywny. Jeden ze świadków przekazał policji, że po tych zabójstwach wyglądał, jakby miał coś na sumieniu. Inni twierdzili, że R. mówił, iż był ostatnią osobą, która widziała Mariolę.

Co ciekawsze, przygotował sobie kartkę z dokładnym opisem tego, co robił w dniach poprzedzających zabójstwo. Powód miał być prosty: chciał mieć alibi, gdyby zainteresowała się nim policja. Później wyjechał z Polski. Belgia, Francja, zmiany adresów i telefonów. Przed sądem się nie pojawił, a jego zeznania podczas procesu jedynie odczytano.

fot. Interwencja.polsatnews.pl / Screenshot

Hipoteza za hipotezą

W 2009 r. prywatni detektywi opracowali kilka możliwych wersji wydarzeń. Jedna z nich dotyczyła właśnie Wojciecha R. Według tej hipotezy, R. mógł przyjść do Marioli Sarosiek z insuliną, ponieważ kobieta chorowała na cukrzycę i zdarzało się, że nie miała pieniędzy na lek. Podczas wizyty miało dojść do awantury, ataku na Mariolę zakończonego jej śmiercią i później morderstwem córki. To oczywiście tylko hipoteza.

Nie wiadomo „czym” i „kiedy”

Proces rozpoczął się w październiku 2004 r. Odbyło się zaledwie 10 rozpraw. Jak dokładnie zginęły Mariola i jej córka? Nie ustalono tego w sposób bezdyskusyjny. Pojawiały się różne wersje narzędzia, którym miała zostać pobita: pałka, przewód, inne przedmioty. Córka, Klaudia miała zostać utopiona.

Nie było też pełnej zgody, jeśli chodzi o czas zbrodni. Raz wskazywano noc z 27 na 28 listopada, później 30 listopada, ostatecznie przyjęto noc z 28 na 29 listopada 2001 r. Czyli mamy zabójstwo, którego mechanizmu nie udało się jednoznacznie odtworzyć i czas jego popełnienia ustalany na podstawie różnych, nie zawsze zgodnych, przesłanek. Mimo to 19 września 2005 r. zapadł wyrok dożywocia.

Jest jeszcze mleko

I właśnie tutaj pojawia się fakt, który powinien zainteresować każdego, kto chce wiedzieć, co naprawdę wydarzyło się 29 listopada 2001 r. Według wersji, na podstawie której wydano wyrok, skazany Jan Ptaszyński miał dzień po zabójstwie po godzinie ósmej rano wyjechać autobusem z Białegostoku. Sam Ptaszyński twierdził coś innego. Że z Białegostoku wyjechał już 28 listopada. Dlaczego to takie ważne? Bo istnieje dokument Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Hajnówce potwierdzający, że Jan Ptaszyński dostarczał mleko do zlewni w Eliaszukach 29 i 30 listopada oraz 1 grudnia. Mleko przyjmowano od godziny 6 do 8 rano. Kierownik spółdzielni stwierdził, że nie było możliwości, aby ktoś dostarczał mleko za Ptaszyńskiego. Świadkowie pamiętali go przywożącego bańkę rowerem. Są również osoby, które 29 listopada rano widziały Ptaszyńskiego w Eliaszukach.

Jest więc pytanie, pozornie banalne, ale dla sprawy fundamentalne: jak człowiek, który według sądowej wersji dopiero po godzinie ósmej rano 29 listopada miał wyjechać z Białegostoku do rodzinnej Michnówki, zdążył przed godziną ósmą dostarczyć mleko kilka miejscowości dalej? Nie da się być jednocześnie w dwóch miejscach. Nawet po dwudziestu latach.

„Przyznał się”, czyli...

Po skazaniu pojawili się kolejni świadkowie – współwięźniowie Jana Ptaszyńskiego. P.W. twierdził, że Jan miał przyznać się do zabójstwa. Jego zeznania zostały wykorzystane jako argument za utrzymaniem wyroku w sądzie apelacyjnym.

Ale drugi więzień, P.J., przedstawiał sprawę zupełnie inaczej. Początkowo chciał zostać świadkiem anonimowym, licząc – jak mówił – na poprawę swojej sytuacji procesowej. Ostatecznie odmówił składania zeznań przeciwko Ptaszyńskiemu. Twierdził, że P.W. kłamał i że Ptaszyński jest niewinny. Wskazywał też na naciski. W sprostowanym później protokole jego odpowiedź na pytanie, kto miał namawiać go do składania obciążających zeznań, brzmiała: „Prokuratorzy”. Sąd Apelacyjny uznał jednak P.W. za wiarygodnego, a P.J. za niewiarygodnego. Wyrok został utrzymany.

Dwadzieścia jeden lat później

Nie jest rolą publicysty zastępować sąd ani wydawać własnych wyroków. Ale mamy obowiązek zadawać pytania, kiedy uzasadniają to okoliczności.

Dlaczego prokurator początkowo uznał, że nie ma podstaw, by przypisać Ptaszyńskiemu zbrodnię? Dlaczego później wystarczyły mu poszlaki, zmienne hipotezy i sporne zeznania? Dlaczego zniszczono nagrania rozmów człowieka, którego nazwisko pojawiało się w śledztwie? Dlaczego świadectwa dotyczące obecności Ptaszyńskiego w Eliaszukach nie zostały rozstrzygająco zweryfikowane przez sąd? I najważniejsze: czy po ponad dwudziestu latach naprawdę można powiedzieć, że wszystkie te wątpliwości zostały wyjaśnione?

W tej sprawie nie zanosi się na cud. „(...) Dokumentacja procesowa przedmiotowej sprawy była wielokrotnie badana w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich, a kasacje obrońców oddalone przez Sąd Najwyższy w 2007 roku. Dnia 3.04.2024 r. upłynął termin do wnoszenia skarg nadzwyczajnych od wyroków zapadłych przed wejściem w życie ustawy o Sądzie Najwyższym z 8.12.2017 roku” – poinformowała „FpM” Anna Kobulska z biura rzecznika.

„Mleko się rozlało” – chciałoby się spuentować tę wciąż trwającą historię. Tylko że mleko w tej opowieści nie jest dobrze odbierane. Przynajmniej przez prokuraturę i sąd...

Arkadiusz Panasiuk

eprasa.pl 46ae2859af

...ty nad poziomy wylatuj...

Jak zła jest „ta dzisiejsza młodzież”?

Kiedyś młody człowiek kończył szkołę, bronił ojczyzny, szedł do pracy, zakładał rodzinę, budował dom, płodził dzieci, a czasem nawet sadził drzewo. Dzisiaj nie zna się nawet na zegarku. Z badań wynika bowiem, że 54 proc. młodych ludzi ma trudności z odczytywaniem godziny z zegara ze wskazówką, a 49 proc. nie potrafi wymienić żarówki. Według 86 proc. przepytywanych rodziców i opiekunów, młodzież ma także kłopot z odnalezieniem się w mieście bez aplikacji i map, zaś 73 proc. starszych uważa, że nastolatkom szwankuje tabliczka mnożenia i liczenie w pamięci. Niemal 70 proc. dorosłych twierdzi nawet, że młodzi mają problemy z gotówką i wydawaniem reszty. Co trzeci dorosły podejrzewa ich o nieodróżnianie poszewki na kołdrę od prześcieradła, a co czwarty uważa, że młody człowiek może nie wiedzieć, co znaczy słowo „pierścień”. Na szczęście są media, które wyjaśnią starszym, że za ich czasów było inaczej.

Głupsi, ale szybsi

Problem polega tylko na tym, że kiedy młoda osoba czegoś nie wie, to 62 proc. z nich szuka odpowiedzi w internecie, 46 proc. pyta sztuczną inteligencję, a 42 proc. zwraca się do rodziców. Nie zapamiętuje zatem planu miasta, bo ma nawigację z GPS. Nie ćwiczy wydawania reszty, bo coraz częściej płaci kartą lub telefonem. Nie odczytuje czasu z dwóch patyczków obracających się na tarczy, ponieważ godzinę ma napisaną cyframi na każdym ekranie znajdującym się w otoczeniu. Można oczywiście ubolewać, tak jak pół wieku temu lamentowano, że kierowcy samochodów nie potrafią zaprząc konia, a 40 lat temu, że użytkownik kalkulatora nie umie wyciągać pierwiastków metodą pisemną.

Najbardziej zabawne jest jednak to, że brak kompetencji młodzieży oceniają oczywiście dorośli. To 86 proc. rodziców twierdzi, że młody bez nawigacji zgubi się, a 73 proc. uważa, że nie zna tabliczki mnożenia. Sami młodzi specjalnie nie panikują. Tylko 18 proc. dziwi fakt, że ich rówieśnicy nie znają rzeczy oczywistych dla starszych. Może dlatego, że wiedza o tym, która poszwa jest prześcieradłem będzie miała dla ich przyszłości zawodowej znaczenie zdecydowanie mniejsze niż umiejętność znalezienia potrzebnej informacji w ciągu dwudziestu sekund.

Robić nie będą

Z „dorosłych” badań wychodzi, rzecz jasna, że młodzi nie tylko nic nie umieją, ale też niczego im się nie chce. Z przepytanych 1,2 tys. osób w wieku 16-35 lat wynikło więc, że 52 proc. chciałoby pracować lżej niż ich rodzice, a 61 proc. chce zarabiać od rodziców zdecydowanie więcej. Wśród 21-25-latków ten drugi odsetek dochodzi do 64 proc., a w grupie 16-20 lat wynosi 59 proc.

W jednym z medialnych portretów pojawia się młody człowiek, którego ojciec od 20 lat pracuje w zakładzie mięsnym i zarabia 4 200 zł netto. Syn chciałby prowadzić własny serwis komputerowy i mieć 7-8 tys. zł. Inna młoda osoba marzy o psychoterapii online i 10-12 tys. miesięcznie. Jest też dziewczyna chcąca pracować zdalnie jako programistka za 15 tys. zł netto oraz najbardziej medialnie wdzięczny 19-letni Mikołaj, któremu bogaci rodzice dają 2-3 tys. zł kieszonkowego miesięcznie. Mikołaj oznajmia więc portalowi, że do pierwszej pracy pójdzie za minimum 12 tys. zł na rękę, bo za mniej nawet nie wstanie z łóżka.

W innym badaniu, tym razem tysiąca studentów z 13 miast, wychodzi, że przeciętny pracujący student zarabia dziś 4,1 tys. zł netto. Rok wcześniej było to 3,6 tys., więc wzrost wyniósł 14 proc. 18,5 proc. zatrudnionych mieści się pomiędzy 4 a 5 tys. zł netto, 49 proc. zarabia od 3 do 6 tys., a 13,5 proc. poniżej dwóch tysięcy. Ci sami studenci chcieliby jednak na początku kariery dostawać średnio 9,9 tys. zł netto. Po roku ponad 12 tys., po trzech latach około 14 tys., a po dziesięciu ponad 16 tys. zł miesięcznie. Czyli młodzi rzeczywiście chcieliby zarabiać dużo. Gdyby przepytać pięćdziesięciolatków czy wolą dostawać 6 tys., czy 12 tys., zapewne nie odpowiedzą, że dla dobra gospodarki i hartu ducha wybierają 6. Emeryci też nie manifestują pod ZUS z transparentami „Nie waloryzować!”.

Młodzi są zatem materialistami, a jeśli chwilowo nie są, media powiedzą, że są konsumpcjonistami.

Groszem nie pogardzą

Inny raport pokazuje, że najczęściej wskazywaną pozycją w budżecie młodych są żywność i chemia domowa. Wymienia ją 62 proc. badanych. Rachunki mieszkaniowe wskazuje 57 proc., transport około jednej trzeciej. Łącznie 63 proc. młodych ponosi koszty związane z mieszkaniem. Dopiero z pieniędzy, które po tych wydatkach zostają, 40 proc. wydaje na ubrania i kosmetyki, 39 proc. na jedzenie poza domem, a 32 proc. na podróże. Jednocześnie 35 proc. mówi o sobie, że żyje oszczędnie, zaś 41 proc. deklaruje, że wystarcza im na wszystko bez większych wyrzeczeń.

Można więc zrobić tytuł „Pokolenie Z wydaje na knajpy i ciuchy”. Można także napisać „Pokolenie Z wydaje przede wszystkim na jedzenie, mieszkanie i dojazdy”. Oba zdania wynikają z tego samego badania. Ale to pierwsze wyraźnie drażni, więc lepiej się sprzeda w sieci. Bo „prawidłowo skonstruowany” młody człowiek w medialnym *imaginarium* powinien zarabiać mało, dużo oszczędzać, szybko kupić mieszkanie, mieć dzieci i najlepiej jeszcze wydawać pieniądze wyłącznie na rzeczy akceptowane przez starszych. Restauracja jest głupotą, wyjazd na weekend to fanaberia, drogie buty świadczą o pustce wewnętrznej. Za to wyłożenie 150 tys. zł wkładu własnego i wzięcie na 30 lat kredytu jest dowodem odpowiedzialności.

Bo 51 proc. Polaków w wieku 25-34 lata mieszka nadal z rodzicami. Wyższy odsetek w Unii mają jedynie Chorwacja, Grecja i Słowacja. W Polsce jeszcze kilka lat wcześniej było to około 47 proc., później wskaźnik przekroczył połowę, a ostatnio spadł z mniej więcej 54 do 51 proc. Ale „gniazdownicy” brzmią w internecie znacznie lepiej niż „ludzie, których nie stać na mieszkanie”. Socjologowie wskazują, że koszty zakupu lub najmu mieszkania pochłaniają młodym od 35 do 55 proc. dochodu rozporządzalnego. Jednocześnie 44 proc. młodych dorosłych w wieku 19-29 lat uważa właśnie wyprowadzkę od rodziców za najważniejszy symbol dorosłości. Znaczy, chcą się wyprowadzić, a siedzą. Może więc nie z miłości do mamusinego schabowego?

59 proc. młodych dopuszcza kredyt mieszkaniowy tylko wtedy, kiedy rata nie obniży im poziomu życia. I znowu tragedia. Wszak pokolenie rodziców brało kredyt, żyłowało domowy budżet, odkładało remont, wakacje i dentystę, więc dzieci mają zrobić tak samo. Niezrobienie sobie finansowego kuku jest najwyraźniej niedojrzałością. A młodzi kombinują inaczej. Aż 71 proc. najmłodszych badanych dopuszcza przeprowadzkę do innej miejscowości, 69 proc. zmianę lokum, zaś 30 proc. nie wyklucza wynajmowania mieszkania nawet przez całe życie. Nie chcą więc przywiązywać się do jednego M3 kredytem na dłużej, niż trwa niejedno małżeństwo. Podejrzane.

Sąsiad też człowiek, niestety

Podejrzany jest nawet sposób, w jaki młodzi chcą mieszkać. Nie potrzebują pałacu. Wolą dobrze rozplanowane 35 metrów niż źle urządzone 50. Ważniejsze od reprezentacyjnego salonu robią się światło, akustyka, miejsce do pracy i funkcjonalność. Chcą także dobrej wentylacji, żeby nie wąchać tego, co sąsiad smaży

eprasa.pl 46ae2859af

na obiad. Chcieliby załatwiać sprawy osiedla aplikacją: zgłaszać usterki bez polowania na administratora i głosować bez chodzenia na zebrania wspólnoty.

I znów źle. Bo kontaktów sąsiedzkich mają mniej. W grupie 16-24 lata bezpośrednie kontakty z sąsiadami są o 12 pkt proc. rzadsze niż w całej populacji, telefoniczne o 9 pkt proc. rzadsze. Tylko 14 proc. najmłodszych traktuje dobre relacje sąsiedzkie jako źródło szczęścia. Jednocześnie 42 proc. młodych doświadcza osamotnienia. Ciekawe, czy ktoś badał, jaki odsetek pięćdziesięciolatków uważa zebranie wspólnoty mieszkaniowej za źródło szczęścia.

Też się nie chce

Na tym młodzieżowa zbrodnia przeciw społeczeństwu się nie kończy, bo oni i one nie chcą się ze sobą wiązać! W grupie 18-29 lat, samotnych pozostaje 44 proc. Polaków. Gdyby ustawić trzydziestoosobową klasę i śledzić jej losy, do 25. roku życia, partnera znajdzie tylko około jedna trzecia. Związek przestał być czymś, w co po prostu się wchodziło. Ma być dobry, partnerski, emocjonalnie bezpieczny, zapewniać przestrzeń, rozwój i komunikację. Jeśli partner jest toksyczny, trzeba odejść. Jeśli relacja nie rokuje, nie marnować czasu. Starsze pokolenia, które przez trzydzieści lat potrafiły nie odzywać się do siebie przy śniadaniu, mogą zatem z satysfakcją orzec, że młodzi nie potrafią tworzyć trwałych związków. Jakby tego było mało, młodym trzeba wyjaśnić również, jak się bzykać. Prof. Zbigniew Lew-Starowicz sugerował nawet pogadanki dla ostatnich klas szkół średnich pod hasłem „Co każdy kawaler wiedzieć powinien".

Gdy młodzi nie potrafią się połączyć w parę, to dla mediów wniosek, że nie chcą dzieci. W badaniach od lat spada nie tylko deklarowana liczba potomstwa, lecz również liczba pozytywnych wzorców trwałych związków. Jeszcze w 2002 r. 66 proc. nastolatków znało osobiście przynajmniej jedno małżeństwo, które mogło służyć jako pozytywny przykład. W 2024 r. było to już około 50 proc. I tu robi się ciekawie, bo media pytają, dlaczego młodzi nie chcą mieć rodzin, a jednocześnie młody człowiek widzi wokół siebie coraz mniej rodzin, które chciałby skopiować. Jeżeli przez dwadzieścia lat oglądał rodziców kłócących się o pieniądze, sąsiadów rozwodzących się po kredycie, wujka śpiącego na kanapie i ciotkę mówiącą przy świątecznym stole, że „dla dzieci człowiek musi wytrzymać", to może nie nabiera ochoty na małżeństwo tylko dlatego, że GUS poinformował o spadku dzietności.

Socjologowie wskazują też, że sama młodość się wydłużyła. W ciągu ćwierćwiecza przeciętna kariera edukacyjna młodego Polaka wydłużyła się z 14 do 22 lat. Kiedyś ktoś kończył szkołę w wieku 18 czy 19 lat, łapał robotę, dostawał mieszkanie albo budował chałupę i w wieku 23 lat mógł się zastanawiać, jak nazwać drugie dziecko. Teraz człowiek potrafi mieć 25 lat, studiować, pracować na zleceniu i kalkulować, czy stać go na pokój w mieszkaniu współdzielonym z dwoma obcymi typami.

Firma? Nie, dziękuję

Skoro dzieci nie będzie, młodzi powinni przynajmniej zakładać przedsiębiorstwa – ale tego też nie chcą. Bo młody Polak na widok jednoosobowej działalności nie reaguje już jak pionier kapitalizmu w 1991 r. Wtedy „firma" znaczyła szansę. Dzisiaj oznacza też składki, księgowość, podatki, ryzyko, odpowiedzialność, telefon od klienta w sobotę i państwo zmieniające zasady gry szybciej niż przedsiębiorca zdąży doczytać poprzednie. Młody ma więc być przedsiębiorczy, ale równocześnie media przez trzy dekady zrobiły z polskiego przedsiębiorcy „Janusza" płacącego pod stołem, kombinującego na podatkach i zatrudniającego za minimalną.

Nastolatek patrzy na ten obraz i stwierdza, że wolałby być influencerem. To brzmi szczególnie efektownie, ponieważ dla człowieka wychowanego w świecie, w którym zawodem był tokarz, lekarz, kierowca i księgowa, influencer brzmi mniej więcej jak „zawodowy nierób". Tyle że młodzi wybierają zawody, które widzą. A dzieciak codziennie przez kilka godzin ogląda ludzi zarabiających w internecie. Widzi twórców wideo, streamerów, sportowców, muzyków. Nie obserwuje natomiast przez cztery godziny dziennie pracy frezera czy szwaczki. Nic dziwnego, że świat widzialny wydaje mu się atrakcyjniejszy, bo prawdziwszy od niewidzialnego.

W badaniu dotyczącym aspiracji dzieci i młodzieży najważniejszym autorytetem pozostają zresztą rodzice. Rodzina pozostaje więc jedną z najważniejszych deklarowanych wartości. Czyli dzieciaki z jednej strony mają być kompletnie pochłonięte influencerami, a z drugiej, jako najważniejszych ludzi w swoim życiu wskazują mamę i tatę. Straszne?

Państwo? A po co

Najgorsze, że młodzi nie chcą bronić Polski. 69 proc. osób w wieku 18-29 lat zadeklarowało, że w razie zagrożenia wojną nie stawi się do obrony kraju. 64 proc. odpowiedziało „raczej nie", 5 proc. „zdecydowanie nie". „Raczej tak" wskazało 13 proc., zaś 18 proc. nie wiedziało, co zrobi. W tej grupie sondaż nie odnotował odpowiedzi „zdecydowanie tak". Katastrofa.

Tyle że w całym społeczeństwie też wojowniczością przesadnie nie tryskamy. Nikt nie pomyślał, że pytanie 19-latka, czy pójdzie na wojnę, ma charakter całkowicie abstrakcyjny. Nie wiemy też, czy odpowiedź „nie" oznacza emigrację, odmowę służby z bronią, czy zwykły lęk przed śmiercią. Ale z tych 69 proc. da się w mediach dorobić młodym ludziom prostą gębę – młody Polak nie będzie walczył. Starszy zaś powie „za naszych czasów", chociaż większość dzisiejszych sześćdziesięciolatków wojnę widziała również wyłącznie w telewizji.

Młodzi mają niski poziom poczucia wpływu na rzeczywistość, ale najdziwniejsze, że ktokolwiek jest tym zdziwiony. Przez pierwszych osiemnaście lat życia państwo mówi młodemu człowiekowi, kiedy ma przyjść do szkoły, czego się uczyć, kiedy napisać sprawdzian, na ile dni może pojechać na ferie, jakie przedmioty zdać na maturze. Potem w dniu osiemnastych urodzin nagle słyszy, że jest suwerenem. W szkole samorząd uczniowski może urządzić dzień bez plecaka i czasem wybrać kolor ściany. W mieście młodzi mogą przyjść na konsultacje, na których dowiedzą się, że pieniędzy na realizację ich propozycji nie ma. W polityce młodzieżówka najczęściej zaczyna od noszenia stolików, rozdawania ulotek i klaskania komuś starszemu. Po czym badacze odkrywają, że młodzież ma niski poziom poczucia sprawczości. Niesłychane.

Spać również nie potrafią

Na młodych można jednak liczyć przynajmniej w gospodarce; choć głównie wtedy, kiedy śpią. A właściwie kiedy nie śpią. Raport dotyczący snu osób w wieku 18-35 lat podaje, że 2,17 proc. śpi mniej niż 4 godziny, 8,32 proc. od 4 do 5, a 22,56 proc. od 5 do 6. W sumie 33,05 proc. młodych dorosłych przesypia najwyżej 6 godzin, choć zalecany czas to 7-9. Ktoś następnie pracowicie przeliczył niewyspanie na roboczodniówki i wyszło 17,45 mln utraconych dni pracy rocznie i 8,73 mld zł strat dla gospodarki. Można odnieść wrażenie, że kiedy 24-letni człowiek o drugiej w nocy przewraca się w łóżku z boku na bok, to gdzieś w centrali polskiej gospodarki zapala się czerwona lampka, a minister finansów odejmuje od PKB kolejnych 500 złotych.

Młody człowiek ma więc spać 8 godzin. Ale powinien także ciężko pracować, rozwijać karierę, spłodzić dzieci, pielęgnować związek, spotykać się z sąsiadami, założyć firmę, śledzić politykę, zdobyć mieszkanie i jeszcze przygotowywać się do obrony kraju. A doba nadal ma 24 godziny. Nawet dla pokolenia, które nie umie ich odczytać z zegara wskazówkowego.

Jeżeli złożyć wszystkie medialne doniesienia do kupy, to większość historii o „dzisiejszej młodzieży" nie opowiada wcale o niej, ale o starszych. Każde pokolenie potrzebuje dowodu, że następne jest trochę głupsze, bardziej leniwe, roszczeniowe i pozbawione zasad. Dzięki temu człowiek mający pięćdziesiąt parę lat może spojrzeć na własne życie i dojść do nader przyjemnego wniosku, że świat rozwija się w złą stronę, a nie on sam się starzeje.

Dawniej młodzi słuchali rock and rolla i mieli zgnić moralnie. Potem nosili długie włosy. Następnie przyszły dyskoteki, gry komputerowe, internet, telefony, Facebook, Instagram, TikTok i sztuczna inteligencja. Ale spokojnie: za 30 lat dzisiejszy młody Polak popatrzy z obrzydzeniem na wnuka i oczywiście powie, że „za naszych czasów...".

Stefan Płonicki

eprasa.pl 46ae2859af

Obsługa kobiety. Poradnik dla opornych

Instrukcja dla azylantów

Prawda o normach życia ludzi na Zachodzie może szokować. Pewnie dlatego Brytyjczycy nie chcą tej wiedzy rozpowszechniać, poza absolutnym minimum.

Zazwyczaj instrukcja obsługi wyjaśnia, jak podłączyć komputer, uruchomić telewizor czy skonfigurować telefon. I zazwyczaj napisana jest w języku zrozumiałym dla mieszkańca kraju, w którym sprzęt kupiono. Od pewnego czasu producenci idą nawet dalej i przygotowują instrukcje w kilku czy kilkunastu językach, bo nigdy do końca nie wiadomo, dokąd dany produkt ostatecznie trafi.

Brytyjskie Home Office, odpowiednik MSWiA, przygotowało własną instrukcję. Nie chodzi jednak o obsługę telewizora ani pralki, lecz o to, jak należy zachowywać się w Wielkiej Brytanii. 19 sierpnia urząd opublikował dziewięciostronicowy poradnik dla osób ubiegających się o azyl „Zrozumienie zachowań i oczekiwań w Wielkiej Brytanii". Ma on pomóc azylantom zrozumieć, czego oczekuje się od nich podczas pobytu na Wyspach.

Kobieta też człowiek

Już na początku poradnika azylant dowiaduje się, że w Wielkiej Brytanii kobiety i mężczyźni mają takie same prawa. Kobieta może pracować, studiować, podróżować, sama wybrać sobie partnera albo w ogóle nie wychodzić za mąż. Nie potrzebuje też pozwolenia męża, ojca, brata ani żadnego innego mężczyzny, żeby wyjść z domu, spotkać się z przyjaciółmi czy zdecydować, w co się ubierze.

Home Office tłumaczy również, czym jest przemoc domowa. Czyli, że nie wolno bić, popychać, kopać ani grozić partnerce. Że przemocą może być także kontrolowanie wydatków, zabieranie dokumentów, ograniczanie kontaktów z rodziną czy decydowanie, dokąd druga osoba może wychodzić.

Osobny rozdział poświęcono seksowi i zgodzie na niego. Zgoda musi być dobrowolna. Można ją cofnąć w każdej chwili. Małżeństwo nie oznacza automatycznej zgody na seks, a osoba śpiąca, nieprzytomna albo zbyt pijana, żeby świadomie odpowiedzieć, zgody wyrazić nie może. Seks bez zgody jest gwałtem.

Home Office przypomina też, że „wiek zgody" wynosi w Wielkiej Brytanii 16 lat. Sam fakt, że osoba młodsza mówi „tak", sprawy nie załatwia.

Urząd przechodzi następnie do zachowania w miejscach publicznych. Nie należy gwizdać na kobiety, cmokać, kierować pod adresem obcych seksualnych komentarzy, nawet jeśli ktoś uważa je za komplement, iść za kimś ani zastępować mu drogi.

Widać zresztą pewien postęp w edukacji „obcych". W innych poradnikach dla osób mieszkających w ośrodkach dla azylantów, Home Office przypomina, że po każdym skorzystaniu z toalety należy spuścić wodę, a do sedesu nie wrzucać podpasek ani chusteczek dla niemowląt. W najnowszym poradniku tej kwestii już nie ma. Można więc uznać, że podstawy zostały opanowane i pora przejść do zagadnień bardziej zaawansowanych.

Czytaj, nawet jeśli nie rozumiesz

Skąd w ogóle pomysł na taki poradnik?

Osoby ubiegające się o azyl nie mają żadnego formalnego szkolenia z brytyjskiego prawa czy miejscowych zwyczajów. Dostają informacje na piśmie, a po przyjeździe do hotelu czy innego miejsca zakwaterowania przechodzą krótkie wprowadzenie, podczas którego wyjaśnia się im między innymi, jakie zachowania są akceptowane, a jakie nie. To jednak nie wystarczyło. Oprócz dziewięciostronicowej instrukcji przygotowano cały pakiet dodatkowych materiałów. Są osobne ulotki i plakaty o przemocy domowej, molestowaniu, zgodzie na seks, wieku zgody, równości kobiet i mężczyzn, krzywdzeniu dzieci, a nawet fotografowaniu i filmowaniu innych osób.

Kiedy poseł Andrew Snowden zapytał, jaki właściwie ma być skutek tych materiałów, Home Office odpowiedziało, że chodzi o to, aby nie było „żadnej możliwości nieporozumienia" co do tego, czego oczekuje się od osób przybywających do Wielkiej Brytanii. Urząd przyznał, że opisuje zachowania, które większość Brytyjczyków uznałaby po prostu za zdrowy rozsądek. Lepiej jednak powiedzieć wszystko jasno, niż pozostawić miejsce na wątpliwości.

Żeby nie było: Home Office zaznaczyło, że poradnik nie powstał dlatego, iż osoby ubiegające się o azyl miałyby częściej niż reszta społeczeństwa popełniać przestępstwa seksualne. Materiały przygotowano przy udziale ekspertów od zachowań, różnych organizacji, a także samych azylantów, którzy dzielili się swoimi doświadczeniami. Czyli wszystko zostało przemyślane. Eksperci byli, konsultacje były, sami zainteresowani też swoje powiedzieli. Zadanie było proste: wyjaśnić wszystko tak dokładnie, żeby naprawdę nie dało się czegoś źle zrozumieć.

Dowolny język, byle angielski

Jest tylko jeden problem. Wielu adresatów poradnika słabo zna angielski albo nie zna go wcale. Wie o tym zresztą samo Home Office. Dlatego podczas procedury azylowej tłumacz nie jest żadnym luksusem ani wyjątkiem. Jeśli osoba ubiegająca się o azyl nie zna j. angielskiego wystarczająco dobrze, rozmowa z urzędnikiem odbywa się z pomocą tłumacza, w języku, który rzeczywiście rozumie.

Czyli kiedy chodzi o to, żeby azylant dobrze zrozumiał pytanie urzędnika, kwestia traktowana jest całkiem serio. I słusznie. Do Wielkiej Brytanii trafiają ludzie z Afganistanu, Sudanu, Erytrei, Somalii, Iranu i dziesiątek innych państw. Trudno zakładać, że każdy z nich będzie swobodnie czytał po angielsku urzędowy tekst o zgodzie na seks, przemocy domowej i odpowiedzialności karnej.

W lokalnych badaniach mieszkańców hoteli dla osób ubiegających się o azyl, od 58 do 64 proc. ankietowanych deklarowało, że potrzebuje tłumacza. W innym badaniu (Refugee Council) 32 proc. osób znajdujących się w procedurze azylowej określiło swój pisany angielski jako „bardzo słaby". Nie są to dane dla całego kraju, ale skalę problemu pokazują. Trudno więc mówić o drobnej barierze językowej. Dla części adresatów urzędowy angielski jest po prostu przeszkodą, a poradnik dotyczący zgody, przemocy czy zachowania wobec kobiet powinien być zrozumiały bez pomocy kolegi z pokoju.

Zresztą, inne materiały Home Office tłumaczy bez większego problemu. Poradniki dotyczące życia w ośrodkach dla azylantów dostępne są między innymi po arabsku, w dari, pasztu, po persku, somalijsku, w tigrinia i urdu. Wcześniejszy poradnik o prawach i obowiązkach osób ubiegających się o azyl również wydano w wielu wersjach językowych. Czyli urząd wie, że człowiek z Afganistanu może lepiej czytać po pasztu niż po angielsku, a Erytrejczykowi bardziej przyda się wersja po tigrinia. Skoro więc poradnik napisano dla ludzi przybywających z całego świata, wypadałoby przygotować go choćby w kilku najczęściej używanych językach.

Spodziewać się można, ale...

Poseł Ben Obese-Jecty zapytał Home Office, dlaczego materiały opublikowane 19 sierpnia nie ukazały się także w innych językach. Odpowiedź przyszła 7 września. W chwili publikacji prac nad tłumaczeniami jeszcze nawet nie rozpoczęto. Dzień później poseł Mike Wood zapytał jeszcze prościej, czy poradnik został przetłumaczony na jakikolwiek język obcy.

Odpowiedź urzędników była krótka: „*No translated versions have been produced*". Czyli: żadnych tłumaczeń nie przygotowano.

Człowiek składa wniosek o azyl. Nie zna angielskiego – dostaje tłumacza. Potem Home Office przygotowuje dla niego dziewięć stron wyjaśnień o gwałcie, zgodzie seksualnej, przemocy wobec kobiet i zachowaniu na ulicy. Przypomnijmy: poradnik powstał właśnie po to, żeby nie było „żadnej możliwości nieporozumienia". W tym miejscu zaczyna się już robić trochę po monty-pythonowsku. Brakuje właściwie tylko urzędnika, który wręczając poradnik człowiekowi nieznającemu angielskiego, powoli i bardzo wyraźnie powie:

– *Please read this carefully.*

Producent telewizora wkłada do pudełka instrukcję w kilku czy kilkunastu językach. Home Office przygotowało instrukcję obsługi brytyjskich kobiet. Tylko po angielsku.

Daniel Młynarski, Londyn

eprasa.pl 46ae2859af

Dzwonek dla Nowej Lewicy

Partia Włodzimierza Czarzastego ma problem. Po raz drugi z rzędu w realnych wyborach prześcignęło ją Razem.

W pierwszej turze wyborów na prezydenta Krakowa kandydatka Nowej Lewicy (NL) posłanka Daria Gosek-Popiołek uzyskała zaledwie 4,8 proc. głosów, podczas gdy reprezentująca Partię Razem Aleksandra Owca – 6,9 proc. Podczas ubiegłorocznej elekcji prezydenta RP, wicemarszałkini Senatu Magdalena Biejat (NL) przegrała z Adrianem Zandbergiem, tyle że minimalnie – zdobywając 4,2 proc. głosów wobec 4,9 proc. jej rywala (a w przeszłości kolegi z Razem, którego oboje byli współprzewodniczącymi; po rozłamie zastąpiła ją na tym stanowisku właśnie Owca).

Na dodatek kandydatka radykalnej formacji lewicowej w grupie najmłodszych głosujących zajęła mocne drugie miejsce! Zdobyła prawie 30 proc. głosów wyborców w wieku 18-29 lat, ustępując tylko zwycięzcy pierwszej tury Łukaszowi Gibale (41,3 proc.), a dystansując wspólną reprezentantkę Koalicji Obywatelskiej i PSL Monikę Piątkowską (12,4 proc.). Gosek-Popiołek w tej grupie uzyskała – podobnie jak i w innych – poparcie poniżej pięciu procent.

Krakowskie klimaty

Można oczywiście mówić, że nic to nie znaczy ponad to, że jedna z tych polityczek w bardzo konkretnym starciu poradziła sobie nieco lepiej od drugiej. Że niereprezentatywna jest „próba", bo na obie panie oddano bardzo niewiele głosów: 17 684 oraz 12 303. Że wybory lokalne, i to „przedterminowe", odbywające się tylko dlatego, że w referendum został odwołany urzędujący prezydent – nie są żadnym probierzem poparcia w skali ogólnokrajowej; nawet jeśli dotyczą drugiego pod względem populacji miasta w Polsce.

Tym ostatnim argumentem, *notabene*, raczej bym nie szafował. Społeczność stolicy Małopolski ma cechy mieszkańców wielkomiejskiej aglomeracji, co w Polsce oznacza przewagę osób o poglądach lewicowo-liberalnych. Łatwiej więc w nim odnaleźć się formacjom progresywnym. I choć prawdą jest, że w wyborach powszechnych ta orientacja jest równoważona przez bardziej konserwatywną ludność małych miasteczek i zwłaszcza wsi, to jednak nie ma żadnego powodu, by podejrzewać, że Nowa Lewica jesienią przyszłego roku będzie miała z tego jakąś wyraźną korzyść w porównaniu z Razem.

Pod względem profilu politycznego obie kandydatki są do siebie bliźniaczo podobne. Młode (34 lata – Owca, 41 – jej alter ego), dobrze wykształcone (prawniczka i teatrolożka po Uniwersytecie Jagiellońskim), wyrosłe z aktywizmu miejskiego (porady prawne i ruchy kulturalne). Co więcej, blisko ze sobą współpracowały. Owca zaczynała od współorganizowania miejskich kampanii swojej nieco starszej koleżanki, obie należały do Razem, a także współpracowały ze wspomnianym Gibałą, zwycięzcą pierwszej tury i *enfant terrible* polskiej i krakowskiej polityki.

To trochę tak, jakby lewicowe partie wystawiły jedną i tę samą osobę. W ich przypadku nie decydowało zaangażowanie w sprawy Cesarskiego i Królewskiego Miasta lub – przypuśćmy – urok osobisty, lecz szyld partyjny. Być może niepostrzeżenie zasób wyborców Nowej Lewicy się kurczy, a Razem – rozrasta. I to nie tylko w najmłodszym pokoleniu, gdzie przyszłość wydaje się już przesądzona, jeśli tylko Zandberg i jego towarzysze nie zrobią jakiegoś kardynalnego błędu. Coraz bardziej zrozumiała staje się taktyka trzymania się z daleka od większościowej koalicji demokratycznej i ostrego krytykowania rządu Donalda Tuska. Mamy tu dowód na to, że nie będzie żadnej wspólnej listy lewicy za rok. Razem idzie nie po ochłapy, tylko po całą pulę.

Wielki sondaż

Ten wynik trzeba traktować jako przeprowadzone na bardzo dużej próbie badanie postępowego elektoratu. Nie ma co się pocieszać, że różnica w liczbie głosów oddanych na dwie Krakowianki wyniosła niespełna pięć i pół tysiąca. Socjologowie wyciągają solidne wnioski na podstawie sondaży, gdzie wszystkich respondentów jest raptem dwukrotnie więcej. Tu było ich ponad ćwierć miliona.

Nie mogłem zrozumieć, jak to się dzieje, że notowania Nowej Lewicy stoją w miejscu, mimo że jej ministrowie należą do najbardziej skutecznych w rządzie Tuska (cały rozległy pakiet rozwiązań socjalnych od renty wdowiej po, niech będzie, wolną Wigilię; cyberbezpieczeństwo i postępująca w dobrym tempie informatyzacja), a jej lider stał się głównym oponentem nacjonalistycznego prezydenta Karola Nawrockiego, z pewnością niestrawnego dla postępowego elektoratu. Od dawna na tych łamach wzywam działaczy NL do znalezienia wyjaśnienia tego fenomenu – bo sam nie potrafię. Przyglądając się wynikom pań Gosek-Popiołek i Owcy zaczynam nabierać podejrzeń, że może to kwestia strukturalna: może wyborcy na trwałe odwrócili się od partii socjaldemokratycznej starego typu (którą po prawdzie NL wcale nie jest, bo to raczej przeobrażona Wiosna Roberta Biedronia i zrewoltowana połowa Razem, resztki dawnego SLD są tylko listkiem figowym)? Część z nich przestała interesować się polityką lub – brutalnie mówiąc – wymarła, część trwa przy lewicowym skrzydle Platformy/Koalicji Obywatelskiej (Bartosz Arłukowicz, Marek Borowski, Grzegorz Napieralski, Katarzyna Piekarska, Dariusz Rosati – wszyscy z dawnego SLD); może część przerzuciła swoje sympatie na Zandberga i jego kompanię? To tłumaczyłoby też, dlaczego spora grupa wyborców z 15 października 2023 r., rozczarowana niespełnieniem ważnych dla niej postulatów – takich jak liberalizacja przepisów antyaborcyjnych, związki partnerskie itp. – nie wspiera NL, która najmocniej próbuje się angażować w te sprawy. Może już wybrała Razem?

Zmierzch europejskiej socjaldemokracji

Lepiej jednak, by wynik krakowskich wyborów był dla Czarzastego nie podzwonnym, tylko dzwonkiem ostrzegawczym.

Gdyby bowiem powyższa hipoteza potwierdziła się w przyszłorocznych wyborach, miałaby katastrofalne skutki. Jeśli to Razem, a nie Nowa Lewica znajdzie się w Sejmie, nie wesprze koalicji skupionej wokół KO. Będzie wypowiadać się krytycznie – może nawet bardzo krytycznie – także o prawicowym obozie PiS, obu Konfederacjach i partii Mateusza Morawieckiego pod parasolem Nawrockiego, ale, próbując zachować równy dystans wobec dwóch wielkich bloków, umożliwi przejęcie władzy temu drugiemu. Dla nowoczesnej, europejskiej Polski byłoby to tragiczne, ale Razem mogłoby liczyć, że stanie się głównym kontrapunktem dla ultrakonserwatywnej, prawicowo-populistycznej polityki, zastępując w tej roli nie tylko NL, ale nawet KO. Zwracam uwagę, że w sondażach w grupie młodych wyborców skutecznie wypiera partię Tuska. Razem nie będzie kolejnym wcieleniem lewicy demokratycznej, lecz polską Die Linke, Syrizą, Podemos lub La France insoumise Jean-Luc Mélenchona. To zastanawiające, że stare wielkie partie socjaldemokratyczne w Europie generalnie tracą grunt pod nogami. Partia Socjalistyczna we Francji została zdegradowana do drugiego szeregu, niemiecka SPD jest na dobrej ku temu drodze. Partia Pracy w Wielkiej Brytanii, co prawda, doznała rezurekcji w ostatnich wyborach, ale już w połowie kadencji wpadła w turbulencje skutkujące zmianą przewodniczącego i tym samym premiera; czy uda się ją odbudować – nie wiadomo. W naszym najbliższym otoczeniu jest jeszcze gorzej: czeska Socjaldemokracja (SOCDEM) od kilku wyborów oscyluje wokół 2 procent, w Słowacji dawno zaniknęła wyparta przez populistyczny SMER premiera Fico, a na Węgrzech w ogóle zrezygnowała ze startu w ostatnich wyborach w obawie przed zmiażdżeniem przez Tiszę Pétera Magyara (i słusznie: druga lewicowa partia Koalicja Demokratyczna uzyskała zaledwie 1,1 proc. głosów).

Są oczywiście kraje, gdzie tradycyjna lewica trzyma się mocno, jak w Szwecji, Danii czy Norwegii (a najbardziej na Malcie); wciąż rządzi też w Hiszpanii, a w Portugalii jest główną siłą opozycyjną. W Polsce jedynie próbuje utrzymać głowę nad powierzchnią wody.

Jakub Jabłoński

eprasa.pl 46ae2859af

Zabawa kanibali

W Rosji odbyły się „wybory” do Dumy Państwowej. Słowo „wybory” jest w tym wypadku jedynie hołdem dla protokołu politycznego.

Nazywanie „wyborami” najbrudniejszej procedury wyborczej w historii współczesnej Rosji to plucie na samego siebie. W Rosji nigdy nie było uczciwych wyborów, ale te, w bezczelności, cynizmie naruszeń i fałszerstw przerosły nawet najbardziej fantastyczne przewidywania. W zbrodniczej Rosji kradną wszystko: ropę, gaz, drewno, węgiel, metale kolorowe… Wybory też skradli, ale ludzie tego „nie zauważyli”.

Wybory bez wyboru

Władimir Putin dał jasno do zrozumienia, że nie są to wybory w powszechnym rozumieniu tego słowa, ale referendum poparcia dla armii rosyjskiej i „specjalnej operacji wojskowej” (SWO), której sam nie waha się już nazywać wojną. Na czele Centralnej Komisji Wyborczej Federacji Rosyjskiej stoi 73-letnia Ełła Panfiłowa, nazywana Ełłoczką Kanibalką. Komisja jest politycznie podległa rządzącej partii Jedna Rosja W. Putina. Z tego też powodu bywa nazywana sztabem wyborczym partii prezydenta. Otóż komisja ogłosiła poparcie 57,8 proc. wyborców dla Jednej Rosji. To mniej więcej dwa razy więcej od rzeczywistego poparcia. Najbardziej oburzeni są komuniści, którzy grozili „wyprowadzeniem ludzi na ulice” jeśli wyniki „wyborów” nie zostaną zrewidowane na ich korzyść. Ale sprawa zawsze kończy się na tanich groźbach ich lidera Giennadija Ziuganowa.

Pytanie jest inne. Do czego prezydentowi były potrzebne te „wybory”, skoro nawet pijany jeż wiedział, że ich wynik był ustalony na długo przed rozpoczęciem głosowania!? Putinowi byłoby znacznie łatwiej powiedzieć ludziom, że w czasie wojny nie ma na nie czasu i zasugerować przełożenie ich o rok lub dwa, „aż wróg zostanie pokonany”. Ludzie by to zrozumieli i w ogóle by się tym nie przejęli. Dlaczego więc zorganizowano te wybory? Wysłuchałem kilkunastu analiz politologów i zidentyfikowałem cztery główne powody, dla których władza zdecydowała się na przeprowadzenie plebiscytu.

Spis potrzeb

Pierwszy powód: legitymizacja. Putin musi pokazać, że on (prawnik z wykształcenia) działa w ramach prawa zapisanego w rosyjskiej konstytucji. „W procesie budowania dyktatury w Rosji dla Putina ważne jest, aby nigdzie nie doszło do zerwania struktury prawnej. Przestrzeganie cyklów wyborczych powinno działać uspokajająco na autokratę, którego mandat dawno wygasł, a jego rzeczywista legitymacja została wyczerpana. Przestrzeganie procedur stwarza iluzję legalnego prawa do sprawowania władzy przez dyktatora” – uważa politolog Aleksander Baunow.

Ta wersja ma jeszcze jeden podtekst. W Kijowie wybory prezydenckie zostały przełożone z powodu wojny, ale w Moskwie (choć nie na prezydenta, lecz do Dumy Państwowej) nie. Wyrafinowana logika Putina: Zełenski nie ma legitymizacji, by być głową państwa, ale on, Putin, ją ma. Zmiana władzy w Rosji nie jest przedmiotem dyskusji. Przeciętny człowiek nie przejmuje się tymi politycznymi niuansami, ale to wyjaśnienie może zrobić wrażenie na zachodnich politykach wszelkiej maści.

Drugi powód: granice. Tak zwane wybory odbyły się po raz pierwszy na okupowanych terytoriach ukraińskich. Kremlowska procedura wyborcza w pewnym sensie podkreśla „legalną władzę” Federacji Rosyjskiej w okupowanych miastach i miasteczkach Donbasu. Jednocześnie W. Putin niestrudzenie powtarza, że Rosja nie walczy o terytorium Ukrainy, ale o naród rosyjski tam zamieszkujący.

Nikt na Zachodzie nie wierzy w uczciwość „referendum” z 2022 r. Nawet najbardziej sceptyczni politycy i urzędnicy państwowi rozumieją, że nie wszystko jest zgodne z prawem. Jednak ostateczne (sfałszowane przez Kreml) wyniki „wyborów” do rosyjskiej Dumy Państwowej mają przekonać niedowiarków, że fakt, iż ludność okupowanych terytoriów wychodzi i głosuje na partię Putina Jedna Rosja lub jej sojuszników, oznacza uznanie rosyjskiej władzy. „Dla rosyjskiego reżimu akt głosowania w *nowych granicach* jest uważany za sposób na uznanie tych granic” – mówi politolog Dmitrij Orieszkin. Ale nawet te „pomyje” są dla niewtajemniczonych.

Powód trzeci: wpływ FSB. „Wybory” w Rosji zawsze były kontrolowane. To „wybory” bez wyboru. Nigdy nie zagrażały reżimowi i nie zagrażają. Jednak obecny proces wyborczy był prowadzony pod bezprecedensową kontrolą służb bezpieczeństwa, w szczególności Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB).

Na początku Kreml chciał pobawić się w demokrację i zarejestrował jedną partię, której hasło wyborcze brzmiało „Za pokój i wolność!”. Spodziewano się, że partia Jabłoko poniesie sromotną porażkę w „wyborach”, zdobywając nie więcej niż 2 proc. głosów. Putin zacierał ręce z radości: „Wasza demokracja nie jest nic warta! Ludzie chcą wojny do samego końca!”.

Wydawało się, że słowo „pokój”, tak naturalne w obliczu bezlitosnej rzezi, zostanie utopione w „świętej krwi żołnierzy”. Jednak wstępne sondaże opinii publicznej pokazały, że Jabłoko zaczęło zyskiwać poparcie. Putin zaniepokoił się i wydał FSB rozkaz: „Bierzcie ich!”. Jabłoko zostało usunięte z listy wyborczej pod absurdalnym pretekstem. W materiale wyborczym partii wykorzystano wers „Niech zawsze świeci słońce” poety Lwa Oszanina z popularnej piosenki dziecięcej z czasów radzieckich oraz „Gdyby tylko nie było wojny” z dramatu Aleksandra Wołodina „Pięć wieczorów”. Sąd Najwyższy Federacji Rosyjskiej uznał to za „naruszenie praw autorskich”, mimo że te wersy od dawna nie były nimi chronione.

Gdyby Kreml zezwolił partii Jabłoko na udział w procesie wyborczym, kandydaci partii uzyskaliby prawo do debat politycznych w prasie i w państwowych kanałach telewizyjnych. Kreml nie mógł na to pozwolić. Następnie członkowie Jabłoka, startujący w okręgach jednomandatowych spoza listy partyjnej, zostali usunięci z wyborów (a niektórzy nawet aresztowani!). Ełłoczka Kanibalka stwierdziła w jednym z programów telewizyjnych, że Wszechrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy i FSB udaremniły straszliwy protest zwolenników Jabłoka. „Terroryści” chcieli obrzucić lokale wyborcze granatami.

W wymysły Ełły Panfiłowej trudno uwierzyć, ale to nie koniec głupoty i paniki władz. W różnych rosyjskich miastach doszło do wypadków, kiedy policja aresztowała kilku młodych mężczyzn i kobiet za to, że dla żartu przyszli do lokali wyborczych (zazwyczaj szkół) z zielonym jabłkiem w dłoni. Jabłko jest symbolem partii Jabłoko.

Powód czwarty: przedstawienie. Putin nie potrzebuje w Dumie Państwowej całkowicie „czarnego kwadratu”. Potrzebuje od pięciu do siedmiu „odcieni szarości”. Potrzebuje pozorów „dyskusji”, „wymiany poglądów”, choć jeden z deputowanych kiedyś wykrzyknął z mównicy, że „parlament nie jest miejscem na dyskusje”. Otrzymał owację na stojąco.

Apetyt na tort

Każda partia w Dumie Państwowej ma jeden cel, jedną ideę – prowadzić wojnę do zwycięskiego końca. Ale ma też swoją rolę do odegrania w tym spektaklu, z własną, wyćwiczoną w reakcjach publicznością.

Rządząca Jedna Rosja to szkielet konstrukcji – hegemon, okręt flagowy, cement. Nowy Lud to partia, która igra z demokracją w ściśle określonych ramach. Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji (LDPR) to straszak. Jest przeznaczona dla słabo rozwiniętych, odległych prowincji. Nie pozostał nawet cień po dawnych leninowskich komunistach, ale ambicje Komunistycznej Partii Rosji (KPFR) pozostają sadystycznie utopijne: cały glob powinien zostać pomalowany na czerwony kolor.

Każda partia musi zapewnić sobie miejsce przy wspólnym torcie, a o wielkości należnego kawałka zadecydują wyborcy w „sprawiedliwym głosowaniu”. Chyba że gospodarz imprezy sam posadzi gości i nałoży im na talerzyki wcześniej przygotowane porcje.

Anton Arbatow, Moskwa
przekład Marta Hofman

eprasa.pl 46ae2859af

Palestyńczycy mają zniknąć

Nie zdarza się, by rezygnacja z występów muzyków, mających towarzyszyć w koncertach rockowemu gwiazdorowi, odbiła się echem o skali większej niż zawód jego fanów. Bywają jednak wyjątki, takie jak ten.

Amerykańskie tournée Loop Tour popularnego brytyjskiego muzyka Eda Sheerana zostało niespodzianie zdemolowane. Obnażyło to kulisy i autorów procederu, który zazwyczaj nie wychodzi na światło dzienne: tłumienia krytyki zbrodni wojennych Izraela; karania tych, którzy odważają się wyrażać solidarność z jego palestyńskimi ofiarami.

„Supportem" dla Sheerana miał być amerykański raper Macklemore. Podczas dwu imprez na stadionie MetLife w New Jersey 4 i 5 września artysta wyszedł na scenę w arabskim biało-czarnym nakryciu głowy, zwanym kefiją lub arafatką. W dwuminutowym oświadczeniu kilkakrotnie powtórzył hasło: „Wolność dla Palestyny!". Macklemore wykonał też utwór pt. „Hind's Hall", poświęcony pamięci 5-letniej palestyńskiej dziewczynki zabitej przez żołnierzy izraelskich. Zaraz za to zapłacił – Sheeran powiadomił go, że jest wykluczony z dalszych koncertów.

Na tym się miało, jak zwykle, zakończyć. Bez rozgłosu, zakulisowo. Dotkliwa nauczka dla artysty na przyszłość. Chcesz występować, zarabiać? To wybij sobie z głowy krytykowanie Izraela, cokolwiek czyni!

W następnych godzinach i dniach protestacyjnie wycofały się z udziału w tournée wszystkie zespoły i wokaliści mający uczestniczyć w Loop Tour. Duńska grupa Lukas Graham, irlandzki zespół Beoga; wokaliści Finneas O'Connell oraz Aaron Rowe i inni. Irlandzka stacja Classsic Hits Radio ogłosiła, że nie będzie puszczać muzyki Sheerana. Ten, zaskoczony reakcją, wyznał, że usunięcia rapera z trasy zażądał jeden z promotorów koncertów, 85-letni Robert Kraft. Miliarder żydowskiego pochodzenia, właściciel drużyny sportowej New England Patriots i stadionu Gillette w Bostonie, gdzie mieli się produkować Sheeran, Macklemore i towarzyszący artyści. Co więcej, Kraft zaagitował właścicieli innych stadionów na koncertowej trasie, by dołączyli do jego szantażu. Albo Macklemore wylatuje z występów, albo nie dochodzą one do skutku.

Knebel i bunt

Akcja Krafta sprawiła, że emocje artystów przerwały tamę milczenia. Protestujący nie owijali uczuć w bawełnę: „Powinniśmy mieć prawo mówić o wojnie, o zabijaniu cywilów, o dzieciach, które nigdy nie dorosną". „Macklemore'a zakneblowało syjonistyczne lobby". „Granie na koncertach organizowanych przez ludzi, którzy zmuszają do milczenia artystów opowiadających się za Wolną Palestyną, jest nie dla nas. Ważne, by wszyscy wiedzieli, że prawdziwym wrogiem jest żydowskie lobby". Zawstydził się Sheeran, że tak łatwo położył uszy po sobie: „Jestem oburzony tym konfliktem. Mam swoją opinię, ale zachowuję ją dla siebie. Cierpienie i ból są po obu stronach tej tragedii".

Nawet Kraft wystraszył się rozgłosu; jął przekonywać, że tak naprawdę to on popiera Palestyńczyków i chce dla nich dobrze. „Celem Krafta było karne wyrugowanie Macklemore'a z występów. Lecz jeśli sądził, że w ten sposób uda mu się ograniczyć zasięg przekazu rapera, to jego interwencja przyniosła odwrotny skutek" – oświadczyła Eden Gillott, prezeska firmy PR Gillott Communication. Krafta wsparło agresywne lobby proizraelskie. Odkopano incydent z roku 2014: Macklemore wystąpił w masce z brodą i przyprawionym dużym nosem. Kiedy wówczas zarzucono mu antysemityzm, przeprosił („Moim celem był komediowy efekt, nie zdawałem sobie sprawy z konotacji"). Przeprosiny zaakceptowała Liga Przeciw Zniesławieniom. Ale to było wtedy. Teraz epizod sprzed 12 lat rozpalono na nowo. „Tłumaczenie się niewiedzą w kwestii ewidentnie obraźliwego kostiumu nie jest przeproszeniem" – atakował prominentny izraelski aktywista i influencer Hen Mazzig. „Macklemore to antysemita. Żydzi, którzy nie chcą go widzieć na koncertach Sheerana, nie powinni być wyszydzani" – peroruje aktywistka żydowska Rachel Moiselle.

Stronę rapera wzięła m.in. sławna działaczka ochrony środowiska Greta Thunberg. Dwukrotnie uczestniczyła w akcjach Flotylla dla Wolności Gazy, była bezprawnie aresztowana i represjonowana przez władze Izraela. „Globalna świadomość ewoluuje – powiedziała. – Normalizowanie istnienia państwa apartheidu, usprawiedliwianie i łagodzenie jego akcji nie jest dłużej tolerowane. Ed, jest tylko jedna ofiara: Palestyńczycy". Sheeran na następnym koncercie na Lincoln Financial Field w Filadelfii musiał występować solo. Przed koncertem złożył kolejne łzawe przeprosiny: „Popełniam błędy, przepraszam, naprawdę przepraszam". Jego występowi na bostońskim stadionie Krafta towarzyszyły zorganizowane przez Massachusetts Peace Action demonstracje propalestyńskie z transparentami: „Stop cenzurze miliarderów", „Stop ludobójstwu w Gazie".

Sheeran stracił pół miliona fanów, bilety na jego koncerty kosztują teraz o połowę mniej i zalegają w kasach. Macklemore'owi przybyło 1,3 mln wielbicieli. Utwór „Hind's Hall" i dwa inne kawałki rapera pną się w górę na listach przebojów. Macklemore obwieścił, że w październiku zorganizuje tournée na trasie Dublin-Paryż-Londyn, zatytułowane „Free Palestine Tour". Muzyk wpłacił zarobiony na dwóch koncertach Sheerana milion dolarów na konto sześciu organizacji pomocy Palestyńczykom. Podobną decyzję podjął Ed Sheeran; wezwał Krafta, by przekazał na pomoc Palestyńczykom dwa miliony. Rozważę to – obiecał Kraft. „On się teraz wycofuje, ale popiera i finansuje antydemokratyczne poczynania Trumpa" – stwierdza Howard Bryant, autor 11 książek o polityce USA.

Wysiedlić do Indonezji

Wycinek machinacji proizraelskich miliarderów amerykańskich wyszedł na jaw, wywołując emocjonalną dezaprobatę. W tym samym czasie sprawa o wielokrotnie bardziej zabójczych konsekwencjach przemknęła niezauważenie przez media w USA i jak duch zniknęła. „The New York Times" i „Washington Post" lapidarnie poinformowały, że Trump zatwierdził wysyłkę broni dla Izraela wartości 2,8 mld dol. z kieszeni podatników amerykańskich. Zawiera ona 20 tys. jednotonowych bomb MK-84 oraz 20 tys. bomb BLU-117. Także 20 tys. głowic I-2000, niszczących podziemne schrony. Te bomby rozrywają na strzępy ludzi w promieniu 300 metrów, żłobią kratery głębokości 15 m. W 2024 r. Biden wstrzymał dostawy tonowych bomb, bo Izrael używał ich przeciw ludności cywilnej. Trump zakaz anulował, gdy tylko objął władzę. W lutym 2025 r. wysłał do Izraela 35 tys. bomb MK-84 oraz BLU-117 o wartości 2,7 mld dol.

Przyjęty tryb wysyłek („zagrożenie bezpieczeństwa") pozwala ominąć wymóg zatwierdzenia ich przez Kongres. Wszystko ma miejsce w sytuacji, gdy premier Netanjahu otwarcie bojkotuje plan pokojowy Trumpa. Hamas nań przystał, deklarując rozbrojenie się, lecz Izrael nieustannie bombarduje i okupuje Gazę. Wedle danych ONZ, izraelscy żołnierze od formalnego zawieszenia broni w październiku 2025 r. zabili ponad 1 000 Palestyńczyków. Nawet nie udają, że dążą do pokoju, dającego Palestyńczykom własne państwo. Niedawno minister krajowego bezpieczeństwa, faszyzujący Itamar Ben-Gvir snuł plany permanentnego wygnania Palestyńczyków ze Strefy Gazy. Minister obrony Israel Katz potwierdza zamiar ich przymusowego wysiedlenia „każdym możliwym sposobem".

Trump mówił o „transferze" Palestyńczyków do Indonezji, Somalii, Sudanu, Libii lub Konga. Obiecywał każdemu 5 tys. dol. za dobrowolną eksmisję. W 2025 r. izraelska armia utworzyła „biuro dobrowolnej emigracji". Zamierza deportować Palestyńczyków do Indonezji, RPA i Malezji. Media USA głównego nurtu o tym milczą. Tuż przed wyborami wszystkie, poza jedną, izraelskie partie sprzeciwiają się suwerenności Palestyny.

Ścigany – lecz nie w w USA – za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości Netanjahu wygłosił agresywne, demagogiczne przemówienie do prawie pustej sali Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Nazwał ludobójstwo Palestyńczyków, którego dokonuje Izrael, „największym kłamstwem wieku". Utrzymywał, że Izrael broni państw, które go krytykują i bojkotują. Delegatom palestyńskim oficjele Trumpa odmówili wiz wjazdowych. Przed gmachem ONZ odbywały się masowe demonstracje antyizraelskie, organizowane m.in. przez nowojorskich Żydów.

Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

eprasa.pl 46ae2859af

WIRÓWKA

Pierwszą literę odgadniętego hasła wpisujemy do środkowego, drugą do zaznaczonego pola, a następnie prawoskrętnie. Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu utworzą rozwiązanie.

1) potomek kolonistów urodzony w kolonii, 2) metal na obrączki, 3) wybuchowy ładunek samolotu, 4) księga na zdjęcia lub znaczki, 5) sytuacja bez wyjścia, 6) zdejmowana przez krawca, 7) zbiera się w ustach łasucha, 8) partnerka igły, 9) na kołowrotku, 10) łuskoskrzydły owad, 11) iglaste drzewo z szyszkami, 12) zasiada w samorządzie, 13) słodki lek na kaszel, 14) odznaczenie za zasługi, 15) istota sprawy, 16) tłuszcz do wytopienia, 17) pieni się w łazience, 18) gromada zwierząt jednego gatunku, 19) opowieść z morałem, 20) gruba kromka chleba, 21) pouczenie na końcu bajki, 22) wznoszony za zdrowie, 23) zaprawa do marynowania mięsa, 24) ułatwia napełnienie butelki, 25) szklany pojemnik z zakrętką, 26) rogata gromada z obory, 27) resztka po produkcji, 28) indiańskie trofeum wojenne, 29) jaglana lub gryczana, 30) list przemycony zza krat, 31) handluje kradzionym towarem, 32) wskazujący lub serdeczny, 33) kartka z ceną przy towarze, 34) wigilijna potrawa z makiem i miodem, 35) ślizga sanie po śniegu, 36) symbol życia w skorupce, 37) pismo czytane palcami, 38) kod do odczytania, 39) wał pod torami, 40) główna tętnica organizmu, 41) lekka miłostka, 42) mały opatrunek na ranę, 43) bok statku, 44) świetlny łuk na niebie, 45) podziałka lub zakres wartości, 46) zielona część pietruszki, 47) nagłe silne wzruszenie, 48) czas egzaminów lub obrad, 49) porażka albo część marynarki, 50) czarna koniczynka w kartach, 51) skarbiec z baśni, 52) anglosaska jednostka długości, 53) koliste skrzyżowanie ulic, 54) cyrkowy żartowniś, 55) posłanie wiszące między drzewami, 56) asceta znany z umartwień, 57) brak przesady w działaniu, 58) mebel na garderobę, 59) porozumienie podpisane przez strony, 60) szybki bieg konia, 61) opłakuje męża, 62) niecelny strzał, 63) piaszczyste wzgórze, 64) duży morski skorupiak, 65) regionalna odmiana mowy, 66) część wagi do obciążenia, 67) skupienie lub napomnienie, 68) sztuczny ciek wodny, 69) odprowadza deszcz z dachu.

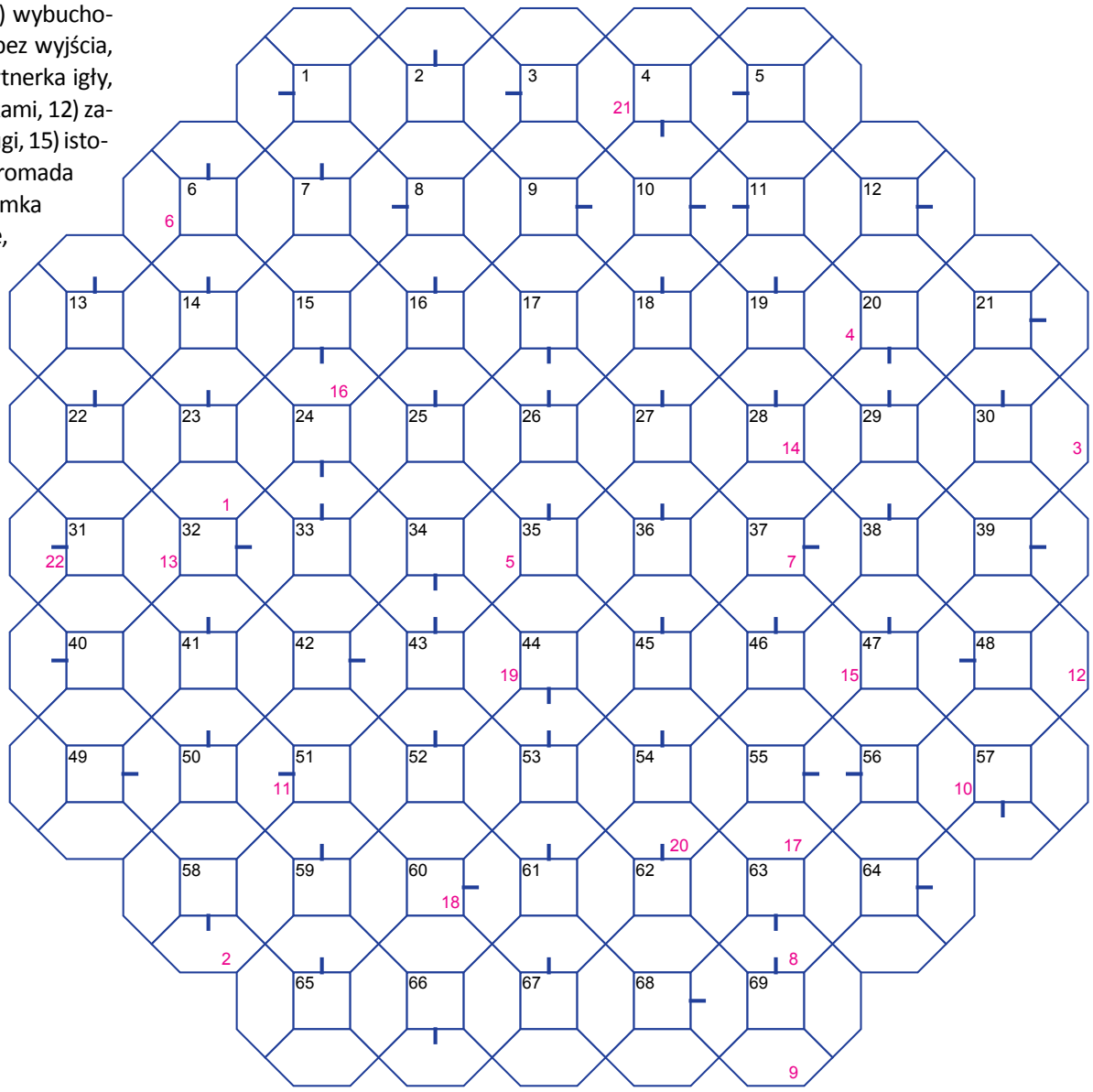

Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM" na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach", ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM" imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 38/2026: „ŻEBY SIĘ NIE DENERWOWAĆ".

Nagrody otrzymują: Zofia Grzelak z Karczewa, Aleksander Pawlak z Katowic, Wiesław Mirowski z Rawy Mazowieckiej.

– 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11

12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 ?

Z pamiętnika mężczyzny:
To był normalny słoneczny dzień, nic nie zapowiadało kłopotów.
I nagle żona zapytała:

Toksyczne środowisko

Zadziwiająco często media podają informacje o samobójstwach księży lub lakonicznie informują o ich tragicznej śmierci, co najczęściej oznacza samobójstwo. Biskupi lub przełożeni zakonni szybko organizują pogrzeb, niewygodny temat zamiatają pod dywan, a motyw śmierci znika z przestrzeni medialnej. Kilkanaście dni temu w Lublinie samobójstwo popełnił kolejny ksiądz – 48-letni wikariusz Tomasz M. Księża są osobami publicznymi i chociażby z tego względu dziennikarze powinni drążyć te tematy, a wyniki swoich śledztw dziennikarskich podawać do wiadomości publicznej. Z moich obserwacji i przemyśleń wynika, że księża funkcjonują w wyjątkowo toksycznym środowisku zawodowym: przełożeni nimi pomiatają, przenoszą ich z jednego miejsca do drugiego; są pozbawieni normalnego życia rodzinnego i wtedy na skutek frustracji i depresji są krok od... ostatecznej decyzji.

Czytelnik

Zagłosujmy mądrze

W Warszawie kamery zarejestrowały kradzież wieńca z rowerowego wózka. Złodziei było prawdopodobnie trzech, a jeden z nich na nagraniach wygląda i porusza się jak Antoni Macierewicz lub – co jest raczej mało prawdopodobne – jest jego sobowtórem. Minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak stwierdził natomiast, że „Jeśli ktoś wygląda jak Antoni Macierewicz, to jest Antonim Macierewiczem". Chciałem też przypomnieć, że podczas ostatniej miesięcznicy smoleńskiej poseł Macierewicz biegał po placu z pistoletem na farbę i bawił się w polowanie na ludzi. Można z tego wysnuć dwa wnioski. Pierwszy, że po stracie władzy i braku możliwości kradzieży na dużą skalę w PiS nastała taka bieda, że jego członkowie muszą posuwać się do przywłaszczania nawet takich drobnych przedmiotów jak żałobne wieńce. Drugi – że po tych incydentach Antoni Macierewicz powinien zostać poddany badaniom lekarskim. A teraz na poważnie, ku przestrodze. Gdyby prawica w przyszłym roku – oby nie – wygrała wybory parlamentarne, zdobywając większość wystarczającą do stworzenia swojego rządu, to Antoni Macierewicz może ponownie zostać ministrem obrony. Musimy poważnie brać to pod uwagę podczas wyborów, bowiem późniejszej reasumpcji nie będzie. Bądźmy więc mądrzy przed szkodą, a nie po niej, tym bardziej w tak niebezpiecznych czasach. Nie należy też wierzyć we wcześniejsze zapewnienia liderów PiS, że Macierewicz nie zostanie szefem MON. Onegdaj „Szydełkowa" Szydło także zapewniała, że nie będzie on ministrem obrony, szykując na to miejsce Jarosława Gowina. Gdy została premierem, to jednak Antoni został powołany na to stanowisko, a o tym, jakich szkód narobił, chyba nie trzeba szeroko się rozpisywać. Wystarczy wspomnieć, że rozbroił naszą armię, zarówno pod względem uzbrojenia sprzętowego, jak i kadry dowódczej, wyrzucając najbardziej doświadczonych generałów. Miejmy to na uwadze, zanim oddamy swój głos podczas wyborów.

Józef F., Głogów

eprasa.pl 46ae2859af

Tradycja przygotowywania i jedzenia małych, bogato zdobionych kanapek (tzw. obložené chlebíčky) w Czechach to bezpośredni spadek po monarchii austro-węgierskiej.

Cytat w sieci znaleziony

Słynne kanapki

Na początku sierpnia gwałtownie zostałam zmuszona do zmodyfikowania planów wakacyjnych. Zamierzałam ponownie odwiedzić Czechy i już byłam spakowana, ale… zamiast trafić na Morawy, zostałam odwieziona na Oddział Kardiologii. A stamtąd skierowano mnie na wczesną rehabilitację kardiologiczną, więc od kilku dni kuruję się na oddziale sanatoryjno-szpitalnym w Ustroniu. I choć jestem już trochę zdrowsza, to nie wolno mi opuszczać terenu miasta. I tyle. A tu tak kuszą słynne cieszyńskie kanapki, o których tyle czytałam.

Na szczęście, przywiózł mnie tu kuzyn, który zatrzymał się niedaleko, a że nie jest przywiązany przez pana doktora do miejsca tak jak ja, więc może sobie jeździć, gdzie chce i kiedy chce. No i zrobił mi niespodziankę, pojechał do Cieszyna i przywiózł mi kanapki, te najlepsze, ze śledziem. Wyobrażacie sobie, jak mi smakowały, szczególnie w kontekście nudnej, bezsolnej, bezprzyprawowej i bezsmakowej sanatoryjnej kuchni, w której kucharki gotują dla tylko… 1 000 kuracjuszy?

Prawda i legenda o kanapkach z Cieszyna

Spółdzielnia „Społem” z Cieszyna, która kanapki do dziś produkuje, ma bardzo długą historią. Założono ją tuż po zakończeniu pierwszej wojny światowej, ale kto i kiedy wpadł pierwszy na pomysł, by przygotowywać kanapki, robiące dziś taką furorę, nie wiadomo. Nigdzie nie znalazłam też informacji, w jaki sposób stały się jednym z kulinarnych symboli miasta. Jednym z…, bo Cieszyn jest znany kulinarnie i ze słynnych ciasteczek, słynniejszych niż te pieczone co roku w nasz ciasteczkowy dzień, ale też z wafelków w czekoladzie, których nazwę wszyscy źle wymawialiśmy w dzieciństwie.

Jak wieść niesie, powstanie kanapek jest ściśle związane z tymi wafelkami. Istotną rolę odgrywać miały też śledzie!? Przedziwne! Otóż, Cieszyn produkował te wafelki i ktoś w PRL wpadł na pomysł, że warto je wyeksportować na Islandię, więc popłynęły na wyspę, na której wkrótce zrobiły nieprawdopodobną karierę. Podobno nie dość, że statystyczny mieszkaniec tego kraju dziś zjada ich pół kilograma rocznie, to można je kupić tam wszędzie, nawet w najmniejszym sklepiku. A w czasach, o których piszę, spożycie sięgało nawet kilograma rocznie – na obywatela, oczywiście. A że gospodarka Islandii opierała się na rybołówstwie, w dużej mierze było to śledziołówstwo, więc za wafelki, a także inny nasz towar eksportowy, czyli wódkę, płacono nam śledziami, które trafiały także do Cieszyna. I tu ktoś genialnie wymyślił, jak je zagospodarować. Tyle opowieść.

A jaka jest prawda? Aby ją poznać, najpierw rozmawiałam z sympatyczną pracownicą firmy, dumną z tego, że ich kanapki podbiły serca mieszkańców oraz przyjezdnych. Zdradziła mi, że choć codziennie firma szykuje ich bardzo dużo, to wciąż są robione po domowemu. Podstawą jest krojona w ukośne kromki świeżutka bułka kanapkowa z chrupiącą skórką, gdzie indziej znana jako wrocławska, angielka lub weka. Mają prosty skład, a w wielu jako dodatek pojawia się kawałek marynowanej papryki. Przygotowuje się je od wczesnego ranka w dniu sprzedaży, więc są zawsze świeże. I pyszne. Nie zawierają konserwantów, sztucznych dodatków, a składniki, poza śledziami, pochodzą od lokalnych, sprawdzonych dostawców. Podobno jednym z sekretów niepowtarzalnego smaku jest majonez robiony w firmie. Podobno, bo nie udało mi się tego sprawdzić. Znaczenie mają także proporcje pozostałych składników. A może tajemnica powodzenia tkwi w pracownikach, którzy wkładają w ich przygotowanie swoje serca?

Więcej o kanapkach opowiedziała mi prezes spółdzielni. Dowiedziałam się więc od niej, że przygotowywano je już po drugiej wojnie światowej dla cieszyńskich restauracji (mniej więcej do lat osiemdziesiątych) prowadzonych przez jej firmę. Były także do kupienia w barach, bufetach i innych punktach gastronomicznych należących do spółdzielni. Na moje pytanie, jaki smak pojawił się pierwszy, usłyszałam odpowiedź, że były to kanapki z szynką, śledziem, sałatką jarzynową, tatarem, żółtym serem oraz pastami – twarogową i śledziową. A czy były podobne do tych, którymi dziś możecie się delektować, jeśli przyjedziecie do Cieszyna? Tego się nie dowiemy. I choć jako dziecko bywałam w tych rejonach dość regularnie, to jakoś ich nie zapamiętałam.

Co sprawiło, że kanapki stały się sławne? Moja rozmówczyni twierdzi, że nie ma takich nigdzie poza Cieszynem, ale nie chciała mi za żadne skarby zdradzić ich tajemnicy, a ich nazwa i skład zostały zastrzeżone w Państwowym Urzędzie Patentowym. No cóż, wygląda na to, że dziś nie podam przepisów, tylko garść dość ogólnych informacji, jakie otrzymałam, i z mojego „doświadczenia” po zjedzeniu dwóch kanapek.

Kanapki cieszyńskie dla wielu mieszkańców są podstawą śniadania, choć odwiedzający miasto szukają sklepów wymienionych w internecie, by skosztować przede wszystkim tych najsłynniejszych – ze śledziem. I choć każdego dnia pracownicy szykują dużo kanapek, to – jak opowiadał kuzyn – wcale niełatwo je kupić. Odwiedził aż cztery punkty, by nabyć kilka ostatnich. A i tak mieliśmy szczęście, że były to te śledziowe.

Kanapkowy wachlarz

Czym możecie rozkoszować się w Cieszynie? Oczywiście, kanapką śledziową, która, jak twierdzi przyjaciel podróżnik, przypomina trochę te, jakie jada się w Norwegii. W tej mojej bułka była świeżutka, śledź idealny, bez ości, mięsisty, nie za słony ani zanadto wymoczony, do tego majonez, plastry jajka, cebulka i natka pietruszki. Poezja!

W kanapce z szynką, oczywiście, najważniejsza jest szynka ukryta pod kołderką ze startego jajka, plasterka jajka i paru plasterków ogórka kiszonego, kawałka marynowanej papryki, ozdobiona natką.

Sałatkę jarzynową lubimy wszyscy, choć każdy robi ją ciut inaczej. Czasem dodaje się do niej jabłko, a zamiast groszku trafia doń kukurydza lub drobna fasolka. Różne są też proporcje. W Cieszynie kanapki z sałatką ostatnio konkurują ze śledziowymi, więc skład tej sałatki musi być doskonały. Niestety, wiem tylko, że powstaje na bazie ugotowanych warzyw, z dodatkiem jajka, ogórkiem kiszonym i groszkiem konserwowym, z majonezem. Kanapkę zdobią esy-floresy z majonezu, kawałek jajka, ogórka kiszonego i papryki konserwowej oraz natka pietruszki.

Od dawna zachęcam Was do robienia past kanapkowych. Jak widać, i tu mają swoich zwolenników. Mój kuzyn też je lubi, ale nie miał szczęścia, by kupić tę z makrelą lub pastą jajeczną. A może kupił i były tak dobre, że zjadł sam?

Kanapka z makrelą to pasta z wędzonej ryby, przypominająca tę, jaką robiły nasze mamy. Na wierzchu zdobią ją plasterki ogórka konserwowego, cebulka i świeży koperek.

Kiedy robię dla gości pastę jajeczną, znika zawsze, więc nie dziwi, że kanapki z nią cieszą się powodzeniem. Solidną porcję pasty dopełniają esy-floresy z majonezu, szczypiorek i plasterki rzodkiewek.

Może spróbujecie zrobić w domu podobne?

Stronę redaguje **Joanna Cyterska**

eprasa.pl 46ae2859af

Powracajcie, Rodacy!

Z gadziej perspektywy

Bociany odlatują do ciepłych krajów, a Polacy wracają do Polski. Na stałe, bardzo cieszą się z tego polscy patrioci.

Ostatnią z kilku „wielkich emigracji" Polaków obserwowaliśmy na początku XXI w. Po wejściu Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. wielu polskich obywateli skorzystało z otrzymanej wolności poruszania się po zjednoczonej Europie. Mieszkania tam. I prawa do legalnego podejmowania pracy.

Największa fala emigracyjna ruszyła w 2006 r. Media pisały wtedy o „dziurze po imigrantach". Alarmowały nawet, że dziś „z Polski się nie wyjeżdża, lecz ucieka". Wręcz „wieje". Tamtej ucieczki nie wywołała obca „specjalna operacja wojskowa", lecz poczucie, że w Polsce lepszej przyszłości długo nie będzie. Dlatego lepiej żyć w bogatych państwach, słynących z przyjaznej polityki socjalnej, niż czekać w biednej Polsce, mozolnie goniącej Zachód.

Dlatego w 2006 r. wyjechało do bogatej Europy ponad milion Polaków. Zwykle młodych, którzy „żadnej pracy się nie bali". Wyjeżdżali też ci, którzy żadnej pracy imać się nie chcieli. Pasowało im żyć tam w mieszkaniach socjalnych. Konsumpcyjny, redukowany wypłacanym socjalem, minimalizm. Wyjeżdżali też polscy bandyci i gangusy, bo w bogatym społeczeństwie mogli lepiej samorealizować się zawodowo niż w polskiej bidzie. Byli też tacy, którzy nadal emigrowali do USA, zwykle z powodów rodzinnych. Amerykańska Polonia obiecywała im dobry start, choć tak dobrych zarobków jak w UE zapewnić im już nie mogła. A socjal w USA był i jest równie kiepski jak w Polsce.

Ponieważ w UE obowiązuje wolność poruszania się, dziś możemy jedynie szacunkowo ocenić, że w 2017 r. przebywało tam prawie 1,7 miliona obywateli RP. Był to szczyt polskiej migracji. W 2025 r. szacowano, że poza granicami Polski przebywa około 1,5 miliona obywateli polskich. Przede wszystkim w państwach UE.

W polskich zasobach mamy też wiele milionów obywateli innych państw, zwłaszcza USA i Brazylii, którzy pielęgnują polskie pochodzenie, kulturę i katolicyzm. Ale gremialnie do ojczyzny przodków wracać na stałe nie zamierzają.

Jak ściągnąć do Polski

Stale zmniejsza się populacja obywateli polskich mieszkających w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Szwecji. Ale nie oznacza to ich powrotów do Polski. Część z nich przenosi się do Hiszpanii, Włoch, Grecji. Albo do Tajlandii. Wielu podobno chciałoby do Polski wrócić, ale ciągle się waha. Dlatego wśród polskich polityków, zwłaszcza tych kupujących wyborcze głosy deklarowanym patriotyzmem i niechęcią do obcych, pojawiają się programy zasilania polskiej substancji narodowej Polakami ściąganymi do Polski. Z dwóch kierunków. Bogatego Zachodu i biednego Wschodu.

Na Zachodzie, czyli w państwach UE, mieszka ponad milion obywateli Polski. Większość z nich polskie obywatelstwo posiada. Ma też w Polsce rodziny, przyjaciół. Nadal mówi po polsku.

Na Wschodzie, czyli w państwach byłego ZSRR, mieszka około 200 tys. osób polskiego pochodzenia. Szacuje się, że jest ich około 60-100 tys. w Kazachstanie, 85 tys. w Rosji, prawie 2 tys. w Uzbekistanie, do tysiąca w Gruzji. Trudno dziś oszacować, ile osób polskiego pochodzenia mieszka jeszcze w Ukrainie. Można przypuszczać, że wszyscy, którzy bardzo chcieli wyjechać do Polski, swój zamiar zrealizowali.

Wydawałoby się, że najłatwiej ściągnąć do Polski naszych rodaków z biednego Wschodu. Rzec można, że ich tam nie powinno być, bo o repatriacji Polaków z Kazachstanu debatuje się od połowy lat 90. ubiegłego wieku. Niemcy sprowadzili wtedy stamtąd wszystkich swoich rodaków. Polacy nie zdołali. Jedną z instytucji hamujących był polski Kościół katolicki. Prymas Glemp uważał, że repatriacja Polaków katolików, to śmierć dla całego Kościoła w Kazachstanie i na postradzieckim Wschodzie.

Ale nie tylko Kościół hamował. Wydawałoby się, że Polacy z biednego Wschodu powinni piać ze szczęścia po przybyciu do ojczyzny przodków. Niestety, zwykle mówią oni ze wschodnim akcentem. Wcześniej szydzono z nich, bo przyjechały „ruskie". Teraz słyszą z patriotycznych ust, aby „wypierdalali do siebie", czyli do Ukrainy. Znajoma repatriantka z Rosji nazywana jest dziś „banderowską szmatą". Kiedy wyjaśnia, że przyjechała z Rosji, słyszy „won ruska onuco".

Problemem życiowym repatriantów ze Wschodu są ich niskie, uzyskane tam emerytury. Nielepiej jest, kiedy mają kazachską i polską. Teraz hurrapatrioci z liberalnej Konfederacji postulują, by zabronić dopłat do emerytur zagranicznych. Bo kilku Ukraińców dostało kasę, choć mało pracowali. Dzięki ich akcji jeszcze kilkunastu innych Ukraińców kasy nie dostanie. Podobnie jak kilka tysięcy Polaków z Kazachstanu. Ponieważ większość deklarujących „powrót do Polski" rodaków to emeryci lub myślący o życiu na emeryturze, polscy patrioci powinni pilnować, by system emerytalny w Polsce był dla nich korzystny. Nawet kiedy podobne korzyści mogą osiągnąć mieszkający u nas obywatele innych państw.

Ci odlatują, ci zostają

Powracający Polacy powinni mieć tu sprawną służbę zdrowia i opiekę. Każdy, kto był choć dzień w polskim szpitalu, dostrzegł, że pion pielęgniarski i pomocniczy bazuje na ukraińskich imigrantkach. Każdy, kto szukał ostatnio osoby do opieki nad starszymi rodzicami, najszybciej znalazł opiekunkę pochodzącą z Ukrainy. Zatem, jeśli polscy patrioci, zwłaszcza ci hurra, marzą o powrotach polskich orłów do ojczystych gniazd, niech szybko przekażą „znak pokoju" ich ukraińskim opiekunkom. Inaczej orły znajdą gniazda w Hiszpanii.

Historia światowych migracji uczy, że zwykle do ojczyzn wracają emeryci i osoby, które szczęścia za granicą nie zaznały. Ludzie, którzy sukces za granicą osiągnęli, zwykle tam zostają. Mogą ojczyznę odwiedzać, wspierać ją. Wysyłać dzieci na studia do Polski. Muszą być tu mile widziani.

Państwo polskie ma obowiązek repatriować wszystkich tego pragnących. I przygotować im godne warunki. Jednak powracający repatrianci i potencjalni emeryci nie wzmocnią znacznie polskiej „substancji narodowej". Ratunkiem jest wzrost dzietności i programy polonizacji mieszkających w Polsce młodych cudzoziemców. Ale to wymaga innego poziomu polskiego patriotyzmu.

Piotr Gadzinowski

PS Kiedy byłem posłem na Sejm RP, pracowałem w Komisji Łączności z Polakami za Granicą. W Radzie Europy pracowałem w Komisji Demografii, Migracji i Uchodźców. Jestem członkiem Rady Programowej TVP „Polonia".

WITAMY W KLUBIE

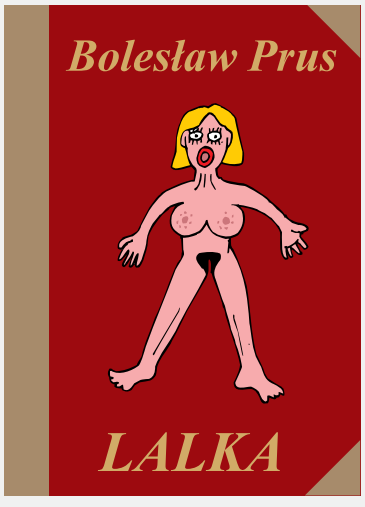

OBYWATEL JANEK

Ojciec Oktan, Proboszcz Naszej Parafii, szef Najtklubu oraz Kasyna „W Chmurach", w którym odrabiam zaciągnięty u niego dług, zlecił mi w ramach mych cieciowych obowiązków dopilnowanie prac przy ociepleniu poddasza tego przybytku rozpusty i hazardu. Od pewnego czasu robotnicy nie dawali znaku życia, więc postanowiłem sprawdzić sytuację. Wspiąłem się po skleconych z desek schodach i spojrzałem w górę. Ostatnie co zobaczyłem, to grupa śpiących fachowców i puste flaszki po nalewkach. Potem schody zawaliły się pode mną. Lecąc zaliczyłem solidne strzały w potylicę. Pierwszy szczebel walnął mnie niczym niespełniona obietnica odpolitycznienia sądów. Drugi dowalił siłą wkurwu na brak ustawy o związkach partnerskich. Trzeci i czwarty obiły mi gębę z pełną wyrzutu siłą w imieniu tych wszystkich, którymi nadal w ping-ponga grają służby graniczne obu stron granic. Piąty, szósty i siódmy przypomniały bolesnymi uderzeniami o solidnym podlaniu Funduszu Kościelnego garnkami złota i celebrowaniu jego świętych przez Sejm. Ósmy i dziewiąty doprowadziły do wstrząsu mózgu, więc nie pamiętam, co uczyniły pozostałe. Gdy się ocknąłem, poszedłem do przychodni, aby mnie zbadano. Pocałowawszy klamkę skonstatowałem, że muszę czekać do jutra, bo zdalna rejestracja nadal nie jest w tym kraju możliwa.

Wróciłem po schodach na górę, obudziłem śpiących i zacząłem biesiadować z nimi, gdyż przypomniałem sobie, iż przedostatni schodek nakazał mi uczcić odpalenie systemu kaucyjnego! Brawo osoby sejmowe!

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 46ae2859af

Spod kardynalskiego kapelusza

Wybory w cieniu Smoczej Jamy

Choć Kraków już od czasów króla Zygmunta Wazy nie jest stolicą Polski, nadal jest Królewskim Miastem, więc i wybory jego włodarza są wydarzeniem na skalę całego kraju.

Tym bardziej, gdy dochodzi do nich z powodu referendum, które odwołało poprzedniego prezydenta miasta i to w środku jego kadencji. Wybory, do jakich doszło w ostatnią niedzielę, nikomu z kandydatek i kandydatów nie dały zwycięstwa, więc w drugą niedzielę października czeka nas dogrywka, która ostatecznie rozstrzygnie, kto zasiądzie w fotelu prezydenta Krakowa.

Siła jedności

Już wówczas, gdy referendum spowodowało odwołanie z funkcji prezydenta miasta Aleksandra Miszalskiego, młodego lidera Platformy Obywatelskiej, wielu politologów sygnalizowało potrzebę zjednoczenia wszystkich politycznych sił wchodzących w skład obecnej koalicji rządzącej i wystawienia do nowych wyborów wspólnego kandydata. Być może bezpartyjnego samorządowca o ugruntowanym autorytecie w tym mieście, tym bardziej, że argumenty przytaczane przez zwolenników odwołania poprzedniego prezydenta oraz poparcie, jakim cieszył się Łukasz Gibała, ich lider, wskazywały, że może dojść do zmiany na stanowisku włodarza miasta. Niestety, warszawscy liderzy wszystkich partii postanowili wykorzystać start w krakowskich wyborach jako okazję do wypromowania swoich ugrupowań, zupełnie nie licząc się z realiami i konsekwencjami, jakie ta decyzja może przynieść Królewskiemu Miastu.

Zarejestrowano ośmiu kandydatów, a do wyborów wystartowało siedmiu, gdyż jeden z nich w ostatniej chwili sam się wycofał. Żadna partia nie wystawiła jednak kandydatki czy kandydata, który potrafiłby skutecznie, ale też merytorycznie, stawić czoło głównemu faworytowi w sondażach Łukaszowi Gibale. Warszawscy liderzy postawili na funkcjonariuszy partyjnych. Niektórzy z kandydatów czy kandydatek sprawiali wrażenie, jakby zostali wręcz przymuszeni do startowania w wyborach, a ich związki z Krakowem, a przede wszystkim kompetencje do zarządzania miastem są – delikatnie mówiąc – wątpliwe.

Teatr groteski

Cała kampania wyborcza była, z punktu widzenia rywalizacji z głównym pretendentem Łukaszem Gibałą, jednym wielkim nieporozumieniem, ponieważ pozostali kandydaci i kandydatki, bardziej skupiali się na wzajemnych atakach niż na przekonywaniu mieszkańców Krakowa do swojej wizji miasta. Bo obietnice kolejnych, często darmowych ofert, trudno nazwać jakąkolwiek wizją dla miasta. Tym bardziej, gdy jego kasa świeci pustkami, a do spłacenia jest kilka miliardów złotych długu.

Warszawscy liderzy partyjni potraktowali więc ten krakowski plebiscyt jedynie jak aktualny sondaż popularności swoich ugrupowań i okazję do własnej promocji. Ich odwiedziny w Krakowie, rzekomo mające na celu promocję kandydatów, były albo niemerytoryczne, albo wręcz obraźliwe dla inteligencji nas wszystkich, krakowskich wyborców.

Lewe uśmiechy

Ponieważ nasz tygodnik adresowany jest głównie do lewicowych czytelników, to w tym komentarzu skupię się jedynie na lewicowych partiach. Na kartce do głosowania mieszkańcy Krakowa mieli aż trzy nazwiska wystawione przez lewicowe ugrupowania. Nową Lewicę reprezentowała posłanka Daria Gosek-Popiołek, która do niedawna była znaną działaczką partii Razem. Razem wystawiło w tych wyborach Aleksandrę Owcę, a Socjaldemokracja Polska – Sławomira Pietrzyka. Ta ostatnia partia „wychyliła się" chyba tylko po to, aby przypomnieć, że jeszcze jej nie rozwiązano. W trakcie kampanii wyborczej robiła wrażenie, jakby powstała z grobu.

I pytanie zasadnicze. Jaki merytoryczny sens miało takie działanie? Co można pomyśleć o warszawskich liderach partyjnych i ich politycznych kompetencjach, jeśli w konserwatywnym Krakowie, gdzie lewicowi wyborcy mają problem z uzyskaniem chociaż jednego mandatu do Sejmu, wystawiają aż trzech wzajemnie atakujących się kandydatów?

Skutek pierwszej tury wyborów był taki, jak przewidywały sondaże. Mimo iż obie lewicowe kandydatki oraz jeden lewicowy kandydat prężyli muskuły i zaklinali rzeczywistość, wynik był dla nich wszystkich jak wyrok. Co boleśniejsze, wyrok został wydany sprawiedliwie – przez ludzi, mieszkańców Krakowa, a nie przez partyjne koterie. A od niego nie ma już żadnej apelacji. Kandydatka partii Razem Aleksandra Owca zdobyła w sumie 6,91 proc. poparcia, kandydatka Nowej Lewicy Daria Gosek-Popiołek, mimo iż jej partia obsesyjnie próbuje nam wmówić, że ma zdecydowanie większe społeczne poparcie niż partia Razem, uzyskała jedynie 4,81 proc. Mina lidera Nowej Lewicy, marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego, stojącego w wieczór wyborczy przy swojej kandydatce, mówiła wszystko. A ja go życzliwie zapytam: i po co ci to było, człowieku? Jedynie 0,37 proc. wyborców Królewskiego Krakowa uwierzyło, że stara Socjaldemokracja Polska nadal żyje i oddało głos na jej kandydata Sławomira Pietrzyka.

Złoty róg

Przeszło sto lat temu, na deskach najpiękniejszego krakowskiego teatru, wtedy Teatru Miejskiego, a obecnie Teatru Juliusza Słowackiego, padły słowa: „Miałeś chamie złoty róg...". Co się z niego ostało, pokazali wyborcy. Taki wynik wyborów był wręcz oczywisty, więc nie powinien nikogo dziwić. Obecne analizy i komentarze na temat kondycji partii lewicowych i prężenie muskułów przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi ośmieszają tylko tych, którzy to czynią. Zarówno liderów tych ugrupowań, jak i ich doradców. Tylko pełne zjednoczenie oraz wspólne listy do Sejmu i umowa senacka są w stanie nie tylko uratować kilka mandatów poselskich dla polityków lewicowych, ale także nas wszystkich przed przyszłymi rządami koalicji Kaczyńskiego, Mentzena, Bosaka oraz Brauna. Musi to także zrozumieć jeden z liderów partii Razem Adrian Zandberg, który upaja się wynikiem swojej protegowanej. Dostała 6,91 proc. oddanych głosów, ale Zandberg zachowuje się tak, jakby przyniosła mu ich 16,91 proc. Czasami można być dużym mężczyzną, a zachowywać się nadal jak chłopiec w krótkich porciętach.

Przed nami druga tura walki o stanowisko włodarza Królewskiego Krakowa. Sondaże wskazują na zdecydowane zwycięstwo Łukasza Gibały. Najbardziej irytujące są zachowania i publiczne wypowiedzi liderów partii rządzącej obecnie koalicji. Na polu walki pozostała bowiem kandydatka Koalicji Obywatelskiej senatorka Monika Piątkowska, która w pierwszej turze zdobyła 29,91 proc. poparcia. Jej konkurent Łukasz Gibała uzyskał aż 36,38 proc. poparcia. Tymczasem wypowiedzi kandydatek lewicowych, które nie przeszły do drugiej tury, ale i wicemarszałkini Senatu Magdaleny Biejat są mocno niepokojące i świadczą jedynie o całkowitym braku politycznego wyrobienia. Czy obie panie kandydowały tylko po to, aby się pokazać i podczas kampanii zaistnieć w przestrzeni publicznej? Już nie ma dla was żadnego znaczenia, kto przejmie ster rządzenia w tym mieście? Jeśli chodzi o panią marszałkinię Senatu, to po tym, co zobaczyłem w kampanii o urząd prezydenta RP, kogo wówczas atakowała, a kogo nie, obecnie niczego dobrego się już nie spodziewam. Uroczy uśmiech może nie wystarczyć w reelekcji do Senatu w przyszłym roku. I zapewniam, że my pamiętamy, komu zawdzięcza obecne stanowisko.

W drugą niedzielę października odbędzie się druga tura wyborów, ostatecznie rozstrzygająca o prezydenturze Krakowa. Apeluję do wszystkich wyborców miasta: idźcie i głosujcie! Każdy głos się liczy. A po wyborach zachęcam do wspólnego spaceru pod Wawelem i oddaniu się refleksjom w cieniu Smoczej Jamy.

Andrzej Gerlach

FAKTY PO MITACH
TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol
Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.
Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol"
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja online: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl eprasa.pl**
Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 44 zł (4 wydania)
IV kwartał – 143 zł
„DO-CENT" sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921
Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl 46ae2859af

ZAORANE

Skierniewice

Wiek nie zawsze idzie w parze z rozumem. Udowodniła to 44-letnia matka, która uznała, że jej 14-letni syn potrafi już prowadzić samochód. Kobieta posadziła dziecko za kółkiem i kazała jechać przez miasto. W aucie podróżował jeszcze 8-letni brat nastolatka. Kiedy zatrzymała ich policja, mamuśka z rozbrajającą szczerością przyznała, że nie był to pierwszy taki „kurs". Szkoda, że zanim zaczęła testować dziecko, nie zrobiła testu sobie… na inteligencję.

Strzelce Opolskie

Czworo 12-latków urządziło sobie skatepark w miejscowej świątyni. Jeździli na hulajnogach po kościele, pokonując „przeszkody" w prezbiterium. Proboszcz Dariusz Flak mówi o „kompletnym braku świadomości" i winie dorosłych. Lamentuje też nad białą marmurową posadzką. Podobno zostały na niej ślady po gumowych kółkach. W powietrzu czuć już zbiórkę pieniędzy na remont.

Otwock

Pewna 34-latka uderzyła swoim samochodem w inny, a potem z takim impetem wjechała w barierki, że od jej auta oderwało się koło. Mimo to przejechała jeszcze ponad 400 metrów. Gdy zatrzymali ją policjanci, kobieta była w doskonałym humorze i szeroko się uśmiechała. Nie wiadomo, czy w zachowaniu świetnego nastroju pomogły jej wyznawane zasady stoicyzmu, czy może 2 promile alkoholu w organizmie?

Zgierz

Jak wynika z danych Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego, niektórzy zgierscy medycy potrafią pracować dłużej niż pozwala na to doba. Jeden z nich w ciągu miesiąca przepracował 1 707 godzin, co oznacza średnio 55 godzin pracy na dobę. Inny w trzy miesiące wyrobił 3 116 godzin, co świadczy, że pracował ok. 34 godzin dziennie. Cud! Jezus rozmnażał chleb i ryby, a kolejni lekarze rozmnażają roboczogodziny.

Zbąszyń

Za usiłowanie wymuszenia rozbójniczego grozi do 10 lat więzienia. Nie wiadomo, czy 42-latek, który wszedł do sklepu z nożem, miał tego świadomość. Grożąc ekspedientce zażądał wydania… hot doga i nawet go nie zjadł, bo do sklepu weszli akurat inni klienci i spłoszyli napastnika.

Lublin

Jak nie wpaść w ręce policji, decydując się na jazdę autem pod wpływem alkoholu? Z pewnością nie warto o to pytać 33-latka, który mając 2 promile porzucił samochód na środku skrzyżowania. Po czym bez butów udał się na stację paliw, gdzie ukradł benzynę do wiaderka. W drodze do auta zatrzymała go policja. Jak się okazało, od siedmiu lat obowiązywał go dożywotni zakaz kierowania pojazdami. Chyba nie trzeba wyjaśniać, dlaczego…

Z PiSiej pupy się wyrwało:

Podobno Czarzasty po ogłoszeniu druzgocących wyników dla jego formacji w Krakowie powiedział swoim koleżankom i kolegom, że musi pilnie wyjść na pole. Ktoś wie o co mogło mu chodzić?

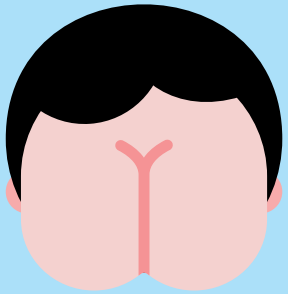

Jan Kanthak
europoseł

„Pamiętacie jak nasz kraj, Polska, wyglądała 30 lat temu? Jaka była infrastruktura? Jakie były drogi? Jakie były hotele? Jakie były sklepy? Jak to wszystko wyglądało? Pamiętacie stacje benzynowe? Pamiętacie te śmierdzące kible moczem? (…) Srałem w polu bo nie było po prostu kibli".

Włodzimierz Czarzasty, marszałek Sejmu

„(…) robienie z własnej potrzeby fizjologicznej argumentu na rzecz rozszerzenia Unii Europejskiej to już gruba przesada. Unia zrobiła dla Polski bardzo wiele. Ale europejskiej integracji naprawdę nie trzeba bronić opowieścią o tym, gdzie Włodzimierz Czarzasty srał trzydzieści lat temu".

Leszek Miller, były premier

***

„Tylko ci, którzy się bronią, mogą także liczyć na sojuszników. Jeśli ktoś nie potrafi się bronić, jeżeli bardzo szybko przegrywa, wtedy sojusze nie pomagają".

Jarosław Kaczyński, były premier

„(…) warto zadać sobie pytanie, czy PiS już opowiada się za kolektywną obroną państw NATO, czy też nadal ją podważa".

Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier

„Nie zgadzamy się na podporządkowanie suwerenności polskiej armii Brukseli i na sytuację, w której to w Brukseli miałyby zapadać decyzje dotyczące naszego wojska. Nigdy w życiu".

Przemysław Czarnek, poseł PiS

***

„Atak nożownika w klasztorze w Jarosławiu nie powinien się wydarzyć. Potępiam ten brutalny, bezsensowny akt przemocy wymierzony w duchownych. Okoliczności tej tragedii muszą zostać w pełni zbadane, a napastnik powinien spotkać się z surową karą. (…)".

Katarzyna Kotula, sekretarz stanu w KPRM

„Informacja o narodowości mordercy nie zmieściła się z powodu, że nie weszła. Być może dlatego, że Pani Kotula jest członkiem skrajnie proukraińskiego rządu D. Tuska".

Stanisław Żerko, historyk

„Jestem przekonany, że entuzjastyczne poparcie liberałów i lewaków w stosunku do budowy ukraińskiego ośrodka Korpusu Weteranów skończyłaby się gdyby miał on powstać na ich zamkniętym ekskluzywnym osiedlu. Jeśli imperatyw moralny zmusza ich do zaoferowania ukraińskim weteranom miejsca w Polsce, to proponuję, w ich, zapewne dobrze wyposażonych, mieszkaniach. Robert Kropiwnicki (KO) ma ich 11, Małgorzata Niemczyk (KO) 10, Krzysztof Śmiszek (Lewica) i Dariusz Wieczorek (Lewica) po 6, zaś Robert Biedroń (Lewica) 4. Resztę można umieścić w pałacach biskupich zatroskanych członków Konferencji Episkopatu Polski".

Łukasz Jastrzębski, publicysta „Myśli Polskiej"

Opr. J.D.C.

eprasa.pl 46ae2859af